

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 28 (41)

WARSZAWA

SOBOTA

14-VII-1934 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

KAZIMIERZ ZAKRZEWSKI

PRZYPATRUJCIĘ SIĘ UWAŻNIE, WILCY!

OSTATNIE ASPEKTY KWESTJI
SPOŁECZNEJ

Zdaje mi się, że ten tytuł-cytat jest wzięty z Kiplinga. Ale mniejsza o to.

To nie jest odkrycie Ameryki, gdy się stwierdzi, że kwestja społeczna jest stara jak świat. I zwykły komunalny powtarzam, przypominając, że nowoczesne ujęcie tej kwestji datuje się od stu lat i zrodziło się w najbardziej znanej nam postaci wraz z dziejowem przeciwstawieniem się nowoczesnego proletariatu — nowoczesnej burżuazji, warstwie, zbierającej plon rewolucji technicznej pierwszej połowy XIX-go wieku.

Ale w takiej postaci kwestja społeczna już przestaje istnieć. Taka burżuazja — ta z dzieł Marksa i z dalszych przekrojów literackich i politycznych XIX-go wieku już dogorywa z wymierającymi Forsythami i Buddenbrockami. Ale dogorywa już bodając i taki proletarijat, jaki jej się przeciwstawiał w dobie młodego socjalizmu. Kwestja społeczna skomplikowała się wielce; to nie znaczy, aby można było przechodzić nad nią do porządku.

W dobie rewolucji francuskiej kwestja społeczna istniała także, mimo, że jak kiedyś miałem sposobność podnieść w „Pionie”, rewolucję rozpętała „les privilégiés” — słowem elity, a nie masy. „Wyrobnik” — tak po staroświecku powiedzieć w tym wypadku chyba lepiej, aniżeli nowoczesnie: „robotnik” — człowiek z przedmiem podnoszący głowę. On to zdobywał Bastylję i Tuilerje, on szalał za Maratem i podnosił powstanie w obronie Robespierre'a. On irytował się spowodu braku chleba i dewaluacji asygnat. Nazywał się wtedy jeszcze poprostu „ludem”. Ale nie zdołał wydrzeć klasom posiadającym prawa kształtowania państwa i decydowania o jego losach.

Za Ludwika Filipa, czy Napoleona III, albo inaczej mówiąc w młodych latach królowej Wiktonji Długowiecznej „lud” zarysował swoje oblicze; wystąpił jako proletarijat robotniczy przeciwko „zbrodniarzom, którzy piją pot ludu, toczą jego ciało i wysysają krew jego dzieci” (z agitacji czartystów angielskich w l. 1839 — 1848). A więc przeciwko „klasom wyższym”, „Wyższe klasy” — czytamy w odezwie „Working Mens Association” do robotników belgijskich — „organizowały swój ustrój w taki sposób, aby osłupić i opanować masy, ich prawa są ulóżone poto, aby uwiecznić ich potęgę, a stosowane są tak, aby wzbudzić pełen lęku szacunek do siły bogactw, niesprawiedliwie uzyskanych... Widzimy naszą krzywdę, odczuwamy ucisk, z którego nie jesteśmy w stanie się wyzwolić”. Z drugiej strony ze zgrozą zauważono istnienie na peryferjach uznanego i kwitującego społeczeństwa sił wrogich i ciemnych, których dotąd może nie przeoczano. „Irokezi są na kresach naszych miast” — wola ze strachem jeden ze współczesnych pisarzy.

Mógł wtedy Marks stwierdzać, że proletarijat nie zna religji, ojczyzny, ani rodziny, ponieważ ów proletarijat był wyzuty ze wszystkiego, znajdując się poza nawiasem społeczeństwa. Kwestja społeczna wylaniała się w całej brutalnej prostocie, w walce pozbawionych wszystkiego przeciwko posiadającym wszystko.

Ale też w ciągu kilku pokoleń proletarijat

zachodnio-europejski, organizowany przez prądy socjalistyczne w państwach demokratycznych i skutecznie upominający się o swój udział w ogólnym przyroście bogactw, przestał być klasą ludzi wyzutych ze wszystkiego, nie mających nic do stracenia. Proletariatem w takim sensie tego słowa pozostały tylko jego arjergardy. Zanim wybuch wojny światowej otworzył dobę przesilen społecznych, mogło się zdawać, że warstwy proletariackie — czego obawiał się rewolucjonista Georges Sorel — roztopią się w społeczeństwie mieszczańskim.

Robotnik przemysłowy nie jest dziś sensu stricto proletariuszem. Ma wiele do stracenia. Więc przedewszystkiem cały szereg praw, która dała mu nowożytna demokracja. Następnie i mienie; jeśli nie indywidualne, to zbiorowe: fundusze i nieruchomości związków zawodowych, majątek kooperatyw i t. p. Wreszcie last not least, pewien, nieraz znaczny poziom kulturalny. Właśnie kryzys przynosi zacieklą walkę środowiska robotniczego w obronie uzyskanego poziomu materialnego i kulturalnego, przeciwko okolicznościom, które spychają go na niższy poziom życia. Tem tłumaczy się niejednokrotnie obserwowany konserwyzm w środowiskach robotniczych. Prawdziwy, społeczny i polityczny konserwyzm, w założeniach, choć nie w formach i celach działania zbliżony do mieszczańskigo, lub agrarnego konserwyzmu.

Lecz do tego oczywiście i dzisiaj nie sprowadza się kwestja społeczna. Przeciwnie odradza się ona w dzisiejszym społeczeństwie zachodnim, w całej ostrości.

Ale czynnikami aktywnymi, atakującymi, owymi „Irokezami” na peryferjach współczesnej kultury, nie są dzisiaj robotnicy fabryczni, zatrudnieni (na to słowo trzeba położyć nacisk) i zorganizowani. Oni należą do obrońców takiego, czy innego, ale zastanego i gotowego ładu. Na rzecz przewrotu pracują inne siły.

W pierwszym rzędzie trzeba stwierdzić pogłębiające się różnice psychiczne i społeczne między pracownikami, a bezrobotnymi. Wytwarzają się całe środowiska ludzi nie chwilowo, lecz stale bezrobotnych, skazanych na życie z zasilku. Te środowiska można nawet najzupełniej identyfikować z wielkimi armjami nędzarzy w pierwszej połowie XIX w. Jedne i drugie powstały dzięki postępowi techniki, dzięki nieustającemu procesowi wypierania człowieka przez maszynę. Tylko, że wtedy maszyna odbierała chleb samodzielnym, ręcznie pracującym rzemieślnikom, podczas gdy dzisiaj lepsza maszyna pozbawia zarobku ludzi obsługujących jej mniej doskonale poprzedniczki.

W każdym razie mamy tu doczynienia ze stałym bezrobociem, z takim stanem rzeczy, w którym masa niewielej określona wogóle nie może znaleźć pracy. Obok „świata pracy” wytwarza się drugi, nowy świat. Narazie zresztą niema między nimi zupełnego rozdziału. Każdy robotnik pracujący żyje w ustawicznym niebezpieczeństwie utraty pracy i przejścia do tego drugiego świata i każdy bezrobotny może jeszcze spodziewać się, że otrzyma pracę i wróci do świata pracujących. Lecz przeciąganie się istniejących warunków — a nikt nie może liczyć na ich zmianę, bo tu chodzi o zja-

wiska strukturalne, niezależne od wszelkich konjunktur — powoduje krystalizację wytwarzanych przez nie nowych środowisk. Obok „proletariatu” konserwatywnego, brojącego swoich zdobyczy „stanów posiadania” zjawia się na nowo prawdziwy „proletarijat” ten z pierwszej połowy XIX wieku, pozbawiony wszystkiego, a więc i ojczyzny i religji i prawa, proletarijat głodny. Trudno nie uznać w nim wielkiej siły burzycielskiej.

Proletarijat ten jest zresztą i pod tym względem różny od tradycyjnego proletariatu przemysłowego, czyli klasy robotniczej, że zasilają go w dużej mierze żywioly poza-robotnicze. W wybitnym stopniu rekrutuje się on i z inteligencji i z t. zw. warstw posiadających. Kryzys gospodarzy proletaryzuje drobne mieszczaństwo i spycha nawet licznych przedstawicieli klas panujących na najniższy poziom społeczny, do kłębowisk ludzi wyzutych ze wszystkiego. Proletaryzacja olbrzymiej armji pracowników umysłowych stanowi zjawisko niejednokrotnie omawiane i nie podlegające żadnej wątpliwości. Przy raptownym narastaniu szeregów tego proletariatu „złoty proletarijat”, jego sposób myślenia tembardziej różni się od sposobu myślenia klasy robotniczej. Tradycje i przesady mieszczańskie tkwią nieraz w jego masach obok tradycji i przesądów klasy robotniczej. Dlatego nie rozumie on marksistów, ani marksistów jego. Dlatego to partje marksistowskie przegrywają swe kampanje z partjami faszystowskimi. Bo właśnie faszizm stanowi rewolucję świeżoproletaryzowanych środowisk inteligentkich, drobnomieszczańskich i mieszczańskich.

Jest dzisiaj szeroko praktykowany nader prosty sposób rozwiązywania kwestji społecznej, nadający się zwłaszcza dla ujmowania i wykorzystywania energii młodego pokolenia świata bezrobotnych, lub „neoproletariatu” (zdaje się, nienajgorszy termin). Mobilizuje się je do szturmowych organizacji, które mu nie dają wprawdzie pracy, ale dają mu z a t r u d n i e n i e, no i utrzymanie. To jest nawet zupełnie przekonywujące uzasadnienie socjologiczne współczesnego kondotjerzemu szturmów i mnożenia się w Europie owych „koszul” wszelkich barw i wszelkich autoramentów. W Niemczech zwłaszcza energje neoproletariatu znalazły sobie ujście w organizacji narodowego socjalizmu i jego państwowości. Na tem samem tle wyrastają zresztą wszelkie „obozy pracy”. Ale co dalej? Boć taka dorywcza mobilizacja neoproletariackiej młodzieży nie przybliży ani o milimetr rozwiązania kwestji społecznej. Nad Europą zagęszcza się atmosfera wojen społecznych.

A TERAZ ZAGADNIENIA KULTURY

A teraz przychodzi kolej na poruszenie zagadnień kultury.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że nasze dyskusje na temat twórczości kulturalnej: literackiej, artystycznej i naukowej toczą się na płaszczyźnie pozaspolecznej. Przypominają więc abstrakcyjne dyskusje teologów w mieście średniowiecznym, obłożonym przez barbarzyńców. I to musi prowadzić do bolesnych nieporozumień.

Dokola was, panowie klerkowie, odbywają się przekształcenia społeczne, przypominające geologiczne przeobrażenia skorupy

T R E Ś Ć:

ARTUR ŚLIWIŃSKI

ZMIENNOŚĆ

OBLICZA HISTORJI

KAROL IRZYKOWSKI

KAŻDY JEST POETĄ

K. W. ZAWODZIŃSKI

MAŁE NIEŚCISŁOŚCI

A GRUBY

DEFEKT KULTURY

MARJA JASNOZEWKA

WIERSZE:

FIOŁEK TO SŁOWIK

FIRANKA

KAZ. ZAKRZEWSKI

PRZYPATRUJCIĘ

SIĘ UWAŻNIE

WILCY

W. JAREMA

OTEATRZE

WŁOSKIM

PRZEMYSŁAW

MĄCZEWSKI

CHRYSTUS-

A POLLO

J. E. SKIWSKI

POCHWAŁA

HEREZJI

RECENZJE

SPRAWOZDANIA

NOTATKI KRONIKA

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K 1243/84/32

ziemskiej, które mogą zniweczyć wysepkę, na której siedzicie. Nasza kultura jest — mimo wszelkie nowatorstwa — czemś zastanym, odziedziczonym; powstała może w nastroskach niechęci do społeczeństwa mieszczańskiego, ale w warunkach stworzonych przez to społeczeństwo. Tymczasem warunki takie dzisiaj już nie istnieją, a zatem i kultura musi się zmieniać. Poznanie współczesnej sytuacji społecznej oszczędziłoby teoretykom naszej twórczości kulturalnej wielu nieporozumień.

Twórczość ta musi być, jak wszelka twórczość, obliczona na jakichś odbiorców. Nawet dumny i samotny Norwid tworzył dla przyszłych odbiorców („syn minie pismo, lecz ty wspomnisz wnuku” i t. d.) i

znalazł ich. W społeczeństwie mieszczańskim istniało grono wyznawców wysokiej kultury umysłowej i artystycznej, odbierających jej wytwory — dlatego istniały warunki twórczości kulturalnej.

Demokratyzacja społeczeństwa pociągała za sobą demokratyzację środowisk kulturalnych: rozszerzanie kręgu odbiorców wytworów kultury. To jest zawsze połączone z pewnym obniżaniem się przeciętnego poziomu kultury, objawem zresztą przejściowym, ustępującym w miarę dorastania duńskiego środowisk odbiorczych. Ten proces trwa dalej, ułatwiony nawet w państwie demokratycznym; odbywa się przez szkołę, przez organizacje społeczne, przez częste prasy i t. d.

Lecz równocześnie zachodzi proces proletaryzacji, a nawet — jak widzieliśmy — wyłaniają się środowiska wyrzucane zupełnie poza nawias społeczeństwa i pozbawione udziału w życiu kulturalnym. Grozi to zerwaniem ciągłości rozwoju kultury. To w miastach... a jeszcze tu nie było mowy o wsi. Zwarta masa ludności wiejskiej pozostaje wciąż jeszcze „la grande muette” a więc także „la grande inconnue”. Nasza zastana kultura nie da się w całości ocalić, bowiem nie nadaje się w całości do przeszczerpienia w te masy, które obok nas wyrastają, jako czynnik dynamiczny, zdolny do odegrania większej roli w życiu jutrzejszej Polski, aniżeli odbiorcy naszych wytworów kulturalnych.

Obowiązkiem naszych teoretyków twórczości kulturalnej jest uważne badanie warunków rozwoju kultury, odważne wskazanie luk, niebezpieczeństw i zalań w życiu kulturalnym naszego społeczeństwa. A przedewszystkiem zdawanie sobie sprawy z przemian, zachodzących w strukturze społecznej.

Jeśli nie dopełnią tego obowiązku, nasza twórczość kulturalna może zawisnąć w próżni; może w nią uderzyć ikonoklazm mas, które kształtują się poza strefą jej wpływów, a i jej zainteresowań.

A zatem: „przypatrujcie się uważnie, przypatrujcie!”

ARTUR ŚLIWIŃSKI

ZMIENNOŚĆ OBLICZA HISTORJI

Polemika, spowodowana artykułami p. Olgierda Górki o prawdzie historycznej w „Ogniem i mieczem”, wśród wielu czytelników wywołała zdziwienie, że historycy nasi dotąd nie wyświetlili należycie wypadków, które w społeczeństwie polskim szereko spopularyzował wielki talent Sienkiewicza. Niedawno na łamach „Pionu” mocny wyraz temu zdziwieniu dał p. Pobóg Malinowski. Stwierdziwszy ze smutkiem jaszkrawą sprzeczność zdań w jednych i tych samych sprawach, skonstatował fakt, że historykom naszym nie wystarcza lat 300, aby rozstrzygnąć wątpliwości i wypowiedzieć „ostatnie, wiążące nas wszystkich zdanie”, p. M. doszedł do przekonania, że „historjografia polska nie stoi, niestety, na wysokości swych zadań”. Ponadto wygłosił opinię, że „zakłamanie jest w Polsce, na całej chyba przestrzeni jej dziejów, zjawiskiem trwałym i jaskrawym”. Wystawiwszy tak czarne świadectwo historjografji polskiej, wyraził przypuszczenie, że skoro „dzisiaj jest aż tak źle”, to i w przyszłości może być równie źle, a nawet jeszcze gorzej.

Sprawa ta ma znaczenie ogólniejsze i dlatego warto ją z różnych punktów widzenia oświetlić.

Pomijając istotę polemiki na temat „Ogniem i mieczem”, nie wchodząc w sprawy, które w dalszym ciągu swego artykułu poruszył p. Pobóg Malinowski, zajmę się jedynie pytaniem, czem tłumaczyć należy sprzeczności w ocenie jednych i tych samych wydarzeń historycznych i czy te sprzeczności są wystarczające, by ich miarą mierzyc wartość historjografji polskiej.

W związku z tem nasuwa się inne kapitalne pytanie: czy istotnie historjografia polska nie stała i nie stoi na wysokości swych zadań?

Odpowiedź zależna jest oczywiście od kryterjum, jakie zastosujemy do tego zagadnienia. Pamiętać jednak należy, że świetny rozwój historjografji europejskiej przypada na wiek XIX, a więc na najsmutniejszy okres w dziejach naszego narodu. Potrójna niewola wycisnęła głębokie piętno na całym życiu polskim. W trzech zaborach wytworzyły się czasem jakgdyby trzy narody polskie, które nietylko żyły innem życiem i inne miały przed sobą zadania, ale z biegiem lat wyrabiały w sobie odrębne właściwości psychiczne i odmijną strukturę umysłową. Sama zaś okoliczność, że społeczeństwo nasze zrywało z sobą łączność, że w każdym zaborze inaczej musiało urządzić swój byt i stosować się do innych warunków, nie pozwoliła w żadnej dziedzinie, wymagającej zorganizowanej współpracy, zdobyć się na zbiorowy wysiłek, godny wielkiego narodu. Wprawdzie walka o utraconą niepodległość, bohaterskie porywy i ofiarne czyny natchnęły poetów i artystów, przypięły u ich ramion potężne skrzydła, uniosły ich na wyżyny, na jakich nigdy przedtem nie znajdowała się sztuka i poezja polska. Ale okres ten był jednocześnie najniepomyślniejszym okresem dla nauki naszej. A jednak niemal do wszystkich dziedzin nauki uczeni polscy wnieśli w tym okresie swój własny dorobek. I historjografia polska, acz nie mogła podążyć za historjografją innych narodów, spełniała należycie swoje zadania. Wystarczy przypomnieć, że do największych i najszlachetniejszych

historjyków europejskich XIX-go wieku należy Lelewel.

Fakt, że o wypadkach z przed lat 300 zawodowi historycy wygłaszają sprzeczne opinie, nie zawiera sam przez się nic gorszego, nic, coby mogło budzić zdziwienie. Albowiem nie było cywilizowanego narodu, którego historia stałaby się zamkniętą księgą o ustalonej na wieki opinji. Nie wystarczy na to lat 300, ani 1000. A wobec postępu, jaki czyni historjografja, wobec jej coraz szerszego zasięgu i coraz liczniejszych zastępów badaczy, z całą pewnością powiedzić można, że każde pokolenie historyków będzie przetwarzało przeszłość swego narodu, każde wniesie do swej pracy nowe kryteria, nowe wymagania i nowe poglądy. I to rzecz pewna, że epoka wycisnie swe piętno na pracy każdego pokolenia i przed każdym pokoleniem postawi nowe zadania.

Oblicze historji jest wieczyście żywe i dlatego zmienia się pod wpływem czasu, w zależności od prądów umysłowych, społecznych, ekonomicznych, od potrzeb, ideałów i tęsknot teraźniejszości.

To też niema w tem nic dziwnego, że opinie historyków o zjawiskach przeszłości często się różnią, a nawet w tem, że jeden i ten sam historyk przedstawia po pewnym czasie swe punkty widzenia. Dość porównać krańcowo sprzeczne poglądy, jakie największy z historyków polskich, Lelewel, wy-

wiedział o skutkach panowania Stefana Batorego w dwóch okresach swego życia, w kraju i na emigracji, aby uprzytomnić sobie, co znaczy atmosfera i duch czasu.

Na ostatnim zjeździe historyków w Warszawie, jeden ze starszych profesorów, wzywając młode pokolenie do pracy nad wydaniem źródeł, uczynił uwagę, że dzisiejsze opracowania historyczne rzadko mogą liczyć na to, aby były aktualne dłużej, niż przez lat 20, podczas gdy sumienne wydanie materiałów źródłowych może oddać usługi w ciągu lat stu i dłużej. Tak jest istotnie. W naszych czasach już drugie wydanie pracy historycznej, drukowane w kilkanaście, a nawet w kilka lat po wydaniu pierwszym, bardzo rzadko ukazuje się w postaci niezmienionej. Świadczy to najlepiej, jak ostrożnym być trzeba w ocenie dzieł historycznych, od których wydania dzielą nas lat dziesiątki.

To pewna, że prace historyczne, żyjące życiem wieczystym, należą do powszechnie znanych wyjątków. Ale nieśmiertelność tych prac nie jest uwarunkowana walorami metody, czy też ścisłością historyczną. Potężny wpływ, jaki przez długie wieki wywierała i wywiera historjografja grecka i rzymska, wybitny znawca dziejów starożytnych, prof. Wipper, tłumaczy wyłącznie olbrzymim ta-

lentem i niezrównanym mistrzostwem słowa pisarzy tej miary, co Tucydides i Plutarch, Tacyt i Cezar.

Był czas, gdy wyrażano mniemanie, że Mommsen wypowiedział ostatnie słowo o historji starożytnego Rzymu. Dzisiaj pracę Mommsena, że użyję modnego wyrażenia, „odbronzawia” Ferrero, tak jak prace Ferrera „odbronzawiać” będą późniejsi badacze. Ale dzieła Tacyta i Cezara przetrwały wieki i wieki trwać będą.

W piśmiennictwie polskim dziełem, które po 100 latach nie straciło swej aktualności, jest historia powstania listopadowego, skreślona piórem Mochnackiego. — Cóż z tego, że dzieło to jest zaledwie ułamkiem powiętego przez autora zamierzenia, że zawiera wiele stwierdzonych ponad wszelką wątpliwość błędów, uchybień, nieścisłości, że w wielu ustępach jest tendencyjne, w wielu naginane do politycznych widoków autora. Pomimo liczne swe braki praca Mochnackiego nietylko pozostała aktualną i żywą, ale posiada takie wartości, że żaden historyk, pracujący nad rokiem 1830, nie może jej pominąć. A pamiętać trzeba, że niema w dziejach naszych wydarzeń, któreby mogły się poszczycić tak bogatą literaturą, jak powstanie listopadowe. Złożyły się na nią setki piór polskich i cudzoziemskich. Tymczasem nawet ostatnie prace, wydane w setną rocznicę powstania, dalekie są od tego, by można je uważać za ostatnie w naszych czasach słowo, a rozbieżność w oświetleniu wypadków r. 1930-1-go i dzisiaj jest wielka. Znajdujemy się dopiero jakby na progu badań, które czekają historyków, by wiedzę naszą o powstaniu listopadowym, stosownie do rosnących potrzeb, należycie wzbogacić.

Tak się rzecz przedstawia, gdy chodzi o okres dziesięciomiesięczny, mogący się wykażać znacznie bogatszą literaturą, niż mnóstwo innych o wiele dłuższych w dziejach naszych okresów.

Cóż dziwnego, że to samo zjawisko dostrzegamy, cofając się w dalszą przeszłość?

MARJA JASNOREWSKA

FIOŁEK TO SŁOWIK

Serdecznym liściem ogrzane,
chcąc miłości aksamit wysłowić —
skromne fiołki
śpiewają wonności sopranem.
W świecie kwiatów
fiołek — to słowik...

FIRANKA

Wzruszając ramionami nad pracą i biedą,
haftowała firankę
z ośrodkiem z „toledo”.
Przy robocie amora
wśród kwiatów i wstążek,
wspomniała przejścia swoje
i przerwaną ciążę.
A gdy w dodatku ostrą ukłuła się igłą,
zaćmiły jej się oczy
zemstą niedościgłą...
Dwojąc obrazu haftu
spadały z jej powiek
łyzy —
to jedno co lśniło na niej kiedykolwiek.
Wreszcie,
zamknąwszy ściegów
monotonne dzieje,
przegryzła biały sznurek,
łączący ją z dziełem...
Wisi smutna firanka,
na oknie, po bokach,
ale słońce unika odtąd tego okna,
a w każdym oku siatki,
przejrzystym, okrągłym,
dusze Os Niewidzialnych
mściwem grozą
żądłem...

Historjografja nasza ubiegłego stulecia ma oczywiście swe ujemne cechy, obce historjografji innych narodów. Jej kłętą, jak zresztą kłętą całego życia polskiego, była niewola. Życie pod trzema zaborami zaciemniło szerokie widnokręgi dziejowe nietylko skutkiem tego, że historyków naszych pozbawiło niezbędnych środków, z jakich korzystali swobodnie historycy cudzoziemscy, ale i przez fakt zrozumiałego zresztą scentralizowania uwagi na zagadnienie upadku państwa polskiego. W Polsce niepodległej zagadnienie to, acz nigdy nie straci swej wagi, nie może już przesłaniać innych wielkich problemów naszej przeszłości. Jakoż już dzisiaj historjografja polska coraz bardziej upodabnia się do historjografji innych wolnych narodów. I z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć można, że proces ten będzie postępował nadal, że historycy nasi, wolni od tych kul u nogi, jakimi ich obciążała niewola, nanowo przerzą wzdłuż i wszerz tysiącletnią przeszłość narodu i że ta przeszłość, w miarę nowych zdobyczy, zmieniać będzie swoje oblicze.

Już Lelewel powiedział, że historia jest przedewszystkiem historją żywego i czującego człowieka. Tylko żywy i czujący człowiek zrozumieć i odtworzyć ją może. Ale mylą się historycy posiadający prócz życia i czucia

W. JAREMA

O TEATRZE WŁOSKIM

(Rozmowa z red. Paolo Milano)

nadmiar temperamentu, gdy sądzą, że obalając dorobek, pozostawiany przez swoich poprzedników, ustalą nazawsze punkt widzenia na interesujące ich zjawiska dziejowe. Każdy historyk, gromiący swoich poprzedników, znajduje kiedyś swego pogromcę. Trzeba tylko czasu, aby się o tem przekonać. Nie ostają się na długo najsensacyjniejsze rewelacje, przebrzmia najefektowniejsze gromy, rzucane na historjografów, którzy często w najcięższych warunkach wypełniali z pożytkiem swe trudne zadanie. To pewne, że byli dziećmi swego czasu, że nieraz popelniali błędy, że nie znali materiałów lub nie mogli dotrzeć do źródeł, do których historykom polskim stworzyły przystęp bagnety i szable żołnierzy Piłsudskiego. Ale i to pewna, że każde dzieło historyczne, bez względu na błędy, jeśli je tylko w dobrej wierze popelniono, stało się cegiełką w poważnym gmachu historjografii polskiej i zarazem szczeblem, wiodącym następcom ku nowym zdobyczom. Najciekawsze rewelacje i najdalej sięgające przeciwstawienia zawdzięczają swe pochodzenie pracom dokonanym.

Niema powodu, by w odrodzonej Polsce wątpić w świetny rozwój historjografii naszej. Do pracy nad nią już przystępuje młode pokolenie historyków, pełne talentów, zapędu, ambicji, pokolenie, wykształcone we wszechnicach wolnej ojczyzny, a więc wolne od ujemnych wpływów, jakim ulegali historycy w okresie niewoli. Pójdzie to pokolenie swoją własną drogą, a nie zawiodą go na manowce tendencyjne fałszerstwa i kłamstwa, rozsiewane nie tylko o naszej niedawnej przeszłości, ale spotykane we wszystkich okresach dziejów każdego narodu. Pokolenie to stworzy nową historję Polski. Następcom swoim przekaze w swych pracach pierwsze błogosławieństwo odzyskanej przez naród wolności. A każde następne pokolenie podejmie nową pracę, podniesie nowe problemy, stworzy swojego Batorego, swojego Kościuszkę, swojego Mickiewicza, swoim własnym światłem prześwieci całą naszą przeszłość. Ale żadne pokolenie nie wypowie o dziejach naszych ostatniego słowa, bo nauka historji słów takich nie zna. Nawet wtedy nie zna, gdy przedmiotem jej badań jest historja narodów, co przed wielu wiekami zeszyły z widowni dziejowej.

Nie byłaby historja mistrzynią życia, źródłem wielkich i szlachetnych wzruszeń, skarbnicą żywej wiedzy, gdyby się stała ostatecznie zapisaną i zamartwą kartą.

Nie stawiamy więc historjografii polskiej żądań, których (na szczęście!) żadna historjografia spełnić nie może. Nie dziwmy się i nie smućmy, że w XX stuleciu nie zajemy poglądami Kadłubka, Długosza, czy Naruszewicza. I nie wyobrażajmy sobie, że prace historyczne naszych czasów, poświęcone, dajmy na to, XVII wiekowi, wystarczą badaczom, co w kilkaset lat po nas na tenże wiek XVII zwrócić swoją uwagę. Pamiętajmy, że prace historyczne, jeśli tylko nie są dziełami genjuszów, stanowią wartości przemijające, że jednak bez tych wartości żaden naród nie miałby swej historjografii.

A gdy rozpatrujemy krytycznie dotychczasowy dorobek historyków polskich, nie zapominajmy, że niedawno jeszcze badanie źródeł nastroczało niezliczone trudności, że badacze i uczeni nasi często pracowali w najopłakawszych warunkach. Toż największy dziejopis polski był wygnaniem i tułaczem, 30 lat spędził pod obcym niebem, żył w ustawicznej mące i w straszliwej za utraconą ojczyznę tęsknocie, a swą budzącą jeszcze dzisiaj podziw twórczość naukową do grobowej deski okupywał niesłychaną nędzą.

Któż historyjografia ma za sobą taką martyrologję, jak historjografia polska?

Kto zważy okoliczności, w jakich w ciągu stu lat zgórą rozwijało się dziejopisarstwo nasze, ten nie rzuci na nie lekką ręką kamieniem potępienia, lecz przed jego dorobkiem z szacunkiem pochyla swą głowę. A jeśli chodzi o przyszłość, to pod wpływem chwilowych nastrojów można oczywiście przemawiać groźnym głosem Kassandry i wróżyć historjografii naszej najstraszniejsze losy. Ale wierzyć serjo, że jakakolwiek dziedzina nauki polskiej będzie wywodziła swój rodowód z kłamania i z fałszów czerpała swe żywotne soki, mógłby chyba ten tylko, kto by całkowicie utracił wiarę w żywotne siły i przyszłość odrodzonej Polski, lub też pomieszzał zadania nauki z zadaniami nieuczciwej wulgarnej agitacji.

Gdy zdarzy mi się przekonać kogoś w dyskusji rad jestem — z siebie i z pozyskanego towarzysza — ale bardziej rad jestem i niepomiernie większe sprawia mi zadowolenie gdy ktoś mnie właśnie w dyskusji przekonał zdołał Więcej bowiem cenię zysk niż satysfakcję.

To też wdzięczny jestem panu Milano, że zechciał ofiarować mi ze swego krótkiego pobytu w Warszawie, dwa wieczory które wypełniła rozmowa o sztuce i o teatrze, jako nam obu najbliższym, w szczególności.

Pan Paolo Milano, redaktor naczelny rzymskiego miesięcznika teatralnego „Scenariario”, bawi w Polsce nie tylko jako turysta, ale, i to głównie, jako drugi z dyrektorów (obok p. Bragaglia), nowopowstałego w Rzymie pisma teatralnego o charakterze międzynarodowym, „Tespis”.

Jeśli pierwszy nasz wieczór był dialogiem, polemiką, częstokroć nawet bardzo gorącą, na temat sztuki teatralnej w ogólności, drugi przypominał raczej interwiew, gdyż bez uwagi, wyznając ze skruczą, na interes osobisty a nawet zmęczenie p. Milano, ograniczyłem się do pytań jedynie, z których każde, mimo ich mnogość, znalazło chętną i wyczerpującą odpowiedź.

Pomijając samą już wagę wiadomości z pierwszej ręki, nie łatwo zapewne znaleźć bym mógł kogoś bardziej au courant; kogoś bardziej w tym przedmiocie kompetentnego niż red. Milano.

By zacząć od rzeczy ogólnych, zanim przejdę do bardzo ciekawych detaliów, powiem, że jeśli teatr włoski, jak zresztą i teatry innych narodów, nie znalazł jeszcze, odpowiadającej epoce naszej, formy scenicznej — nowej formy, — to jednak zdaje się on być na lepszej niż teatr polski drodze, zarówno w swych poszukiwaniach, jak i w pojmowaniu swego społecznego zadania, w czem odrzucając tendencje, zbliżałby się raczej do współczesnego teatru Sowieców.

Zasadniczym kierunkiem, w jakim idzie na tem polu inicjatywa włoska, wobec której rząd odgrywa rolę nie tylko protektora, lecz także inspiratora, jest dążność do odnowienia nie samego jedynie teatru, ale i publiczności, co się wyraża przedewszystkiem w obustronnem zrozumieniu potrzeby wyzwolenia się z teatru „mieszkańskiego”. Jest to pierwszy nieodzowny krok na drodze do stworzenia teatru nowego, teatru naszej ery, którego nam trzeba i brak, którego daremnie wyczekujemy i domagamy się w Polsce. Pardon — my w Polsce raczej nie domagamy się własnie i sami w ten sposób bierzemy na siebie — my, publiczność — wielką część odpowiedzialności za stan obecny naszego teatru. Bo jak słusznie konkluduje, rozważając obecny upadek teatru w zestawieniu z innymi epokami, jak teatrem Szekspirowskim, to znów teatrem rewolucji francuskiej, jeden z krytyków francuskich: — „Teatr jest zawsze godnym swej publiczności i na jej urasta miarę”. To też powitać należy z uznaniem intencje włoskie odnowienia zarówno widowni jak sceny. I w tym kierunku idą, jak twierdzi p. Milano, wszyscy — protektorzy, twórcy i publiczność sama.

Zanotować tu pragnę kilka konkretnych faktów i poczynić.

We Florencji wystawiono „Sen nocy letniej” w malowniczej dekoracji słynnego Giardino di Boboli. W ramach naturalnej dekoracji klasztoru Santa Croce inscenizował Copeau, twórca paryskiego „Vieux Colombier”, misterjum dramatyczne z XV wieku, (La Rappresentazione di Santa Uliva).

W obu wypadkach spotykamy widowniska zdecydowanie popularne.

W wielkim cyklu (około dwudziestu) na podobną skalę zamierzonych widowisk znajdziemy „Kupca Weneckiego”, który ma być odegrany w pałacu Dożów w Wenecji u Goldoniego „La bottega del caffè”, która znajduje swą realizację sceniczną na jednym z małych placyków weneckich (campiello), z kawiarenką wprost już z wizji Goldoniego. Wreszcie na szczególną uwagę zasługuje inicjatywa kilku młodych pisarzy, którzy opracowali gigantyczne wprost widowisko plenerowe p. t. „18. B. L.”, zrealizowane z końcem kwietnia b. r. Widowisko, którego sce-

na objęła trzy wzgórza koło Florencji, to udratyzowana historja autocaru Fiat — z momentów wielkiej wojny, poprzez przewrót faszystowski, aż do roli jego w życiu codziennem.

Obszerny artykuł w majowym „Popolo d'Italia” p. t. „Il Teatro del masse” mówił wprost o religijnem skupieniu wielotysięcznej widowni na rozpoczęcie tego niezwykle go widowiska, które miało nie tylko rozegrać się przed nią, lecz i wciągnąć ją całą w akcję widowiska.

Nie przesądzając sukcesu tych zamierzeń ani w sensie artystycznym, ani społecznym — stwierdzić trzeba żywą i szeroką inicjatywę w kierunku wyprowadzenia teatru z ciasnoty scenicznego pudelka i z atmosfery dusznej drobnomieszczańskiego konfliktu, który Mussolini określa: „eternel triangle” — tej burzy w szklance wody, pasjonującej dotąd jeszcze licznych naszych scenopisów.

Oto jeden nurt tego ogólnego prądu, zmierzającego do odrodzenia włoskiego teatru. Jest on też obok idei teatru dla mas, najbardziej godnym uwagi. Natomiast pewnym przerostem, tak charakterystycznym dla naszych czasów, jest przypisywanie zbyt wielkiego znaczenia technice sceny. Stworzono nawet specjalny faszystowski komitet narodowy Scenotechników, który, na wzór istniejących we Włoszech korporacji, obejmować ma artystów i profesorów, przemysł teatralny i syndykalistyczne związki.

Komitet taki — najdalszym jest, sędzę, od nowego renesansu sztuki scenicznej, dla której przeladowanie środków technicznych uważałbym raczej za pewnego rodzaju niebezpieczeństwo — za zaporę, położoną na drodze do stworzenia nowej teatralnej formy — czy nawet formy teatru. Szczegółowe omówienie zamierzeń tej korporacji podaje „Giornale d'Italia” w obszernym artykule p. Bragaglii.

Natomiast na terenie teatru popularnego, teatru dla mas, Włochy zdają się rozwijać akcję równie żywą, jak świadomą znaczenia i celów.

Najsilniej zaznacza się tu działalność znacznej instytucji „Dopolavoro”, która stworzyła wielką organizację amatorów — element niedoceniany, nawet ignorowany u nas, mimo wieloletnich na tem polu wysiłków i daremnych kolatań jednostek, jak p. Cierniak, Zawiejski (Instytut Teatrów Ludowych). I tu także zdają się Włochy ustępować jedynie Sowieciom w rozumieniu i docenianiu wagi teatru amatorskiego i jego roli w życiu społecznem, jako propagatora, wychowawcy, a wreszcie odskoczni dla umysłów szerokich mas znuzonych zagadnieniami codziennego życia.

„Dopolavoro” powołało jednak do życia i nowy rodzaj teatru zawodowego. Są to Carri di Tespi (nazwa wzięta od imienia legendarnego twórcy tragedji greckiej), teatralne autocar'y, niosące wielkie widowiska klasyczne i operowe do najmniejszych wiosek półwyspu apenińskiego. I nie w wydaniu prowincjonalnej szmiry, czy nawet trupy arkorów, ratujących się w ten sposób z nędzy bezrobocia — ale w wykonaniu najlepszych sił artystycznych włoskiego dramatu i opery. Groszowe ceny tych widowisk mówią najlepiej o wartości i celowości tej akcji. Bardziej oficjalnym a niemniej wymownym akcją tej wyrazem jest zapowiedziany na październik „Convegno Volta”, zjazd teatralny, zwołany z inicjatywy „Accademia d'Italia”, w którym wezmą udział przedstawiciele wszystkich narodowości. Z pośród najpopularniejszych nazwisk znajdujemy takie, jak Pirandello, O'Neil, Shaw, Stanisławski, Meyerhold, Copeau, Molnar i in. Tematy tego zjazdu reasumuje najlepiej: „Il teatro di masse” — rapporti fra teatro e vita sociale nel mondo contemporaneo”.

Mówiąc jednak o teatrze włoskim nie można nie poświęcić osobnego miejsca operze, która dla Włochów jest i była tem, czem dla francuza naprzykład romans-powieść: — wychowawcą i nauczycielem.

Znanem jest powiedzenie, że Balzakiem Włochów jest Verdi. Otóż opera, zawsze bliższa duszy włoskiej niż teatr dramatyczny, pochodzi w najmłodszym pokoleniu znajdują

mniej zainteresowania. Stąd próby modernizacji strony scenicznej oper, które spotykają się, jak np. eksperyment z operą Verdiego we Florencji, (graną w dekoracjach najwyższego w tym kierunku twórcy: Chirico) — z wrzawą protestów z jednej i z krzykiem entuzjazmu z drugiej strony.

Stąd niewątpliwie Pirandello, jako librecista w operze Gian Francesco Malipiero „Legenda del filio cambiato”. Analogiczne poczynania na polu „uwpółcześnienia” opery znajdujemy i w Niemczech, gdzie poeta nowoczesny Werfel poszedł drogą zmiany libretta dla oper Verdiego. Eksperyment ten śledzą Włosi z dużym zainteresowaniem.

Tyle o teatrze od strony sceny i widowni.

Na firmamencie autorskim natomiast żadnej gwiazdy pierwszej wielkości. Włochy, podobnie jak i cała Europa, czekają daremnie na swego Shakespeare'a.

Po rewolucji faszystów, która we Włoszech, kolebce swej, miała przebieg ostrzejszy niż gdziekolwiek (Marinetti i Settimelli słynny „Manifesto del Teatro Futurista” w r. 1915), po pirandelizmie wreszcie, teatr włoski przestał emanować nazewnątr. — Integralny eklektyzm zapanował na scenie włoskiej — znamy dobrze tę ogólnoeuropejską śpiączkę.

Pirandello stanowi oczywiście poważną pozycję we współczesnym repertuarze teatru włoskiego. Niebawem ukazać ma się jego na ukończeniu będąca: „I giganti della montagna” sztuka popularna i prymitywna.

Kilka pięknych sztuk dał Ugo Betti, jak „La padrona” i „L'albergo sul porto”, oraz niegrana jeszcze „Il diluvio universale ovvero una piccola lugia oi fiu di bene”.

Z autorów obcych wyszczególnić należy Shawa, a nadewszystko André Obeya, którego „Viol de Lucrèce” tragedja zakrojona na istic Szekspirowską miarę znalazła wreszcie swego włoskiego tłumacza.

Z wydawnictw krytycznych w odróżnieniu od informacyjnej raczej „Comedia” wysuwa się na plan pierwszy „Scenariario” miesięcznik teatralny (pod redakcją p. Milano), który pomieścił w numerze kwietniowym nową rzecz Shawa i który rozwija bardzo aktywną działalność. Zapoczątkował on cykl prac o teatrze, z których ukazały się dotąd: Silvio d'Amico „Teatr włoski doby współczesnej”, A. Spaini „Teatr niemiecki”, prof. Logatto „Teatr rosyjski”, a mają ukazać się kolejno: „Teatr francuski”, praca zmarłego przed pół rokiem A. Cecchi — oraz „Teatr angielski” C. Pellizzi.

Trudno jest dziś jeszcze mówić o przyszłości nowego pisma teatralnego „Tespis”, pisma o charakterze międzynarodowym, na którego czele stanęli jako dyrektorzy p. Bragaglia i p. Milano. Jeśli jednak inicjatywa ta znajdzie zrozumienie w innych krajach, to „Tespis” stanie się tak bardzo brakującym odłąd łącznikiem dla wymiany międzynarodowej myśli teatralnej. Dotychczas zgłosiły akces swój: Francja, Rumunja i Anglja, a niewątpliwie niebawem znajdziemy tam Polskę i Sowiety. Podając tę garść wiadomości tym, którym losy i drogi teatru nie są obojętne przesyłam panu Paulo Milano serdeczne pozdrowienie i podziękowanie za udzieloną mi rozmowę do dalekiej Romy — Ça ira — et bonne chance!

Nakładem „Drogi” ukazało się drugie wydanie książki

ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO

MYŚLI

O NOWEJ POLSCE

Cena zł. 4.—

(Dla Prenumeratorów „Drogi” zł. 2.50)

Książka jest do nabycia w Administracji „Drogi” (Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 0.518) i w księgarniach stołecznych i prowincjonalnych.

KAROL
IRZYKOWSKI

KAŻDY JEST POETĄ

Piszemy, piszecie, oni i one piszą... Piszemy wszyscy, — piszemy wiersze, powieści, sztuki teatralne. Piszemy publicznie, piszemy cichaczem, tak jak są pijacy jawni i pijacy, którzy swój kieliszek wychylają w samotności. Wszyscy, o ile mamy wolny czas lub nie jesteśmy sportowcami, politykami, odkrywcami biegunów, wogóle t. zw. mężami czynu. Ale nawet na tych przychodzi jak kryśka na Matyska — godzina poetyzowania. I nawet trudno powiedzieć, czy Alain Gerbault był nie mniej poetą, kiedy wsiadał do swojej łodzi, na której samotnie przepłynął Ocean Atlantycki, czy kiedy potem opisywał tę sławną i dziś już także przez Polaków naśladowaną podróż Conrad-Korzeniowski, już przeżywając swoje przygody żeglarskie, przeżywał je sercem poety i nie przeszkadzało mu to być energicznym kapitanem okrętu. Cezar, wielki zdobywca rzymski, kiedy poblił nieprzyjaciół, posłał do senatu poetycznie ułożoną wiadomość: *veni, vidi, vici* (przybyłem, ujrzałem, zwyciężyłem). Napoleon był literatem zanim został wojownikiem, i może ta wprawa przydała mu się później, gdy w Egipcie wygłosił sławną mowę do wojska: *Zołnierze, z wysokości tych piramid 40 wieków na nas spogląda.*

Jeden z naszych wybitnych mężów stanu za młodu — a jest jeszcze dość młody — wydał tomik poezji. Ten spis możnaby ciągnąć długo. Znalazby się w nim Mussolini, który właśnie teraz wystąpił z utworem dramatycznym i wcale się tego nie wstydzil.

Każdy człowiek jest podsyty poetą. W wieku pokwitania, gdy go ogarnia tęsknota, każdy zdobędzie się na jeden wiersz lub nowelę a przynajmniej na list patetyczny. Bo miłość nawet w najprozaiczniejszej duszy potrafi ostrunę poetycką. Później może człowiek taki wyśmieje tę swoją godzinę twórczą, bo człowiek lubi osiągać tryumfy nawet kosztem własnej ambicji. Inny jednak do końca życia zachowa w sobie iskrę bożą, i zawsze przy jej ciepłym pichci sobie jakieś utwory.

Gdyby dzisiaj Stańczyk trefnił zrobił zakład co do tego, jaki zawód jest najliczniejszy, ostrożnie powiedziałby: nie zawód lekarzy, lecz najwięcej jest poetów. Co prawda, poezja w tem naszym rozumieniu nie jest zawodem lecz funkcją, taką samą jak marzenie, uśmiech, palenie papierosów, albo próżniactwo.

Co prawda terazniejsza szkoła stara się tę strunę w człowieku jak najwięcej omijać, osłabić. Przecież dawnej szkole zarzuca się że wychowywała poetów, a nie ludzi praktycznych. Może jednak w tym zarzucie jest znaczna przesada. Ma się na myśli co innego. Chce się powiedzieć, że dawna szkoła wychowywała znawców literatury, krytyków, a nie poetów. Zajmowała się przecież stosunkiem uczniów do książek raczej niż np. ich stosunkiem do przyrody, lub do duszy ludzkiej, własnej i cudzej. A to, żeby każdy zdołał w razie potrzeby swoje uczucia i myśli wyrazić w formie wytwornej, jest chyba godziwym żądaniem.

Tutaj chciałbym skruszyć kopję nawet w obronie grafomanji. Nieznośna jest grafomanja zbliska, o ile chodzi o wypadek pojedynczy, ale naogół jest objawem socjalnym dodatnim. Znane są pogardliwe dowcipy na temat kosza redakcyjnego, w którym toną płody grafomanów. A jednak przejrzenie takiego kosza redakcyjnego mogłoby nam dać niejedną naukę, zapoznać nas z przeciętnym poziomem kultury literackiej w kraju. Biorąc czasem udział w sędach konkursów literackich, gdy mam do przeczytania ze dwieście anonimowych utworów, trzymam zaiste rękę na pulsie tej kultury. I przedewszystkiem za każdym razem na nowo widzę, ile jednak jest poezji wśród ludzi. Są to oczywiście ziarna niewystarczające, często zmieszane z takimi chwastami, że nie warto tych zasobów eksploatować, — ale sam fenomen tego bogactwa jest godny uwagi.

Dlaczego to wszystko podnoszę? Dlatego, że u nas panuje zbyt arystokratyczne pojęcie o sztuce; gdy się mówi o sztuce ma się na myśli tylko dzieła najwybitniejsze, dzieła wybitnych talentów i geniuszów; tutaj przeprowadza się głęboką fosę demarkacyjną i całą resztę uważa się za grafomanów.

To stanowisko, praktycznie dogodne, w zasadzie jednak nie jest zgodne z najnowszym stanowiskiem filozofii. Najwybitniejszy

filozof dzisiejszy, Włoch, Benedetto Croce, w swojej „Estetyce” proklamuje pogląd inny. Jego zdaniem każdy człowiek jest poetą i zamiast przysłowia: „poeta nascitur” (poeta się rodzi) raczejby należało powiedzieć: „homo nascitur poeta” (człowiek rodzi się poetą). Jedni rodzą się jako mali, maluczcy poeci, inni jako wielcy. Różnica jest tylko ilościowa — powiada — ale nie jakościowa. Po nieważ te różnice pomieszano, powstał przesąd o „genjuszach”, a zapomniano, że genjusz nie jest czemś, co zstąpiło z nieba, lecz jest właśnie czemś bardzo ludzkim. To samo dotyczy się dzieł. Pewne bardzo skomplikowane formy wyrazu — mówi Croce — nazywamy dziełami sztuki, ale w zasadzie mamy poezję już w każdym słowie. Odgraniczając zbyt mocno sztukę od codziennego życia duchowego, zrobiono z niej — wciąż mówi Croce — jakieś zajęcie arystokratyczne, osobną funkcję duszy, ale tak nie jest. W wysokiej górze znajduje badacz te same elementy chemiczne co w najniższym kamieniu; w fizjologii każda komórka jest organizmem, a organizm komórką albo syntezą komórek.

A więc Croce pojęcie sztuki czy poezji niejako demokratyzuje. Każdy jest twórcą we własnym drobnym zakresie, i wszyscy pławimy się w atmosferze nasyconej elektrycznością sztuki. Dzieła sztuki są jej specjalnymi akumulatorami — czy silnikami — ale i bez nich spożywamy jej codziennie całe masy, w każdym słowie, w lekturze gazety, w anegdotach, w obrzędach i zwyczajach, w marzeniach czy projektach, w urzędzeniach. Przecież np. parlament czy izba sądowna są rodzajem teatru z rodaniami zgóry rolami, ślub i pogrzeb także mają w sobie coś z widowiska — i tak dalej.

I przecież właśnie tylko dzięki temu, że

każdy jest w sercu poetą, mogą wielcy poeci, to znaczy ci, w których ta władza gości dłużej i silniej, być rozumiani i odczuwani. Dzięki temu możemy rozkoszować się wygodnie Mickiewiczem, jedziemy na tę wysoką górę niby kolejką linową. Ta bierna poezja pozwalając nam obcować z poezją czynną, daje nam chwile niewypowiedzianego szczęścia. I możemy o tem szczęściu powiedzieć dumnie słowami Goethego:

„Czy gdyby nasze oko samo nie było słoneczne, czy mogłoby kiedykolwiek zobaczyć słońce?”

A jednak daleki czytelniku i daleka czytelniczko, choć w duszy jesteście poetami, przez to nie zachęcam was bynajmniej do pisania wierszy. Droga do tej sławy jest stroma i śliska, a gdy się raz na nią weszło, nie ma już sposobu od wymknięcia się sieciom ambicji, intryg, rywalizacji, krytyki. Staniesz się człowiekiem publicznym, każdy będzie miał prawo zajrzeć ci do duszy, i jeżeli nie jesteś genjuszem, lub jeżeli nie będziesz miał wyjątkowego szczęścia do swego talentu, — będziesz drzał o swoje powodzenie, będziesz służył tłumowi, będziesz się czuł gorzej niż akrobata podwórzowy.

Owszem, czytelniku, poprzestań na kilku próbach, które ci pokażą, że byś i ty potrafił, gdybyś chciał... Ale lepiej nie zechciej! Czyż nie lepiej, żebyś swój zasób poezji zachował na użytek swój własny i swoich najbliższych, i tych ludzi z którymi obcuje? Coś powiedzieć mile i pięknie, czyż ci nie wystarczy? Możesz być znakomitym mówcą, świetnym nauczycielem i wykładawcą — na to właśnie przyda ci się twój talent. Przerób go zresztą w jakikolwiek sposób, jak ci w życiu wypadnie. Dla poezji zawsze zachowaj dobry sentyment, stań się

dla niej przychylnym snobem i konsumentem. Być doskonałym odbiorcą, być genialnym czytelnikiem, — to rzecz tak samo zaszczytna jak być dobrym poetą, — a przed Bogiem może nawet zaszczytniejsza, bo nikt o niej nie wie, tylko ty i on. Niech Cię nie nęci miraż sławy, bo jest ona okupiona cierpieniami i trudem ciągłej pracy około czegoś nieokreślonego. Sława 90% dzisiejszych literatów potrwa 10 lat jeżeli nie mniej, 5% — może lat piętnaście, reszta zostanie zabalsamowana w trumnach nazwanych historjami literatury. Dzisiejsza nieśmiertelność z odległości lat stu czy dwustu jest muchą łączącą na piramidzie.

Wystarczy Ci za to Twój talent, abyś napisał interesujący pamiętnik — o sobie, o ludziach z którymi obcowałeś, o zdarzeniach, które przeżyłeś, bez względu na to, jakie zajmujesz stanowisko na drabinie społecznej, bez względu na to czy żyjesz tylko w miasteczku czy na szerokim świecie, czy podróżujesz limuzyną i fokierem czy własnymi nogami. Przeczytaj co o takich pamiętnikach pisze Sienkiewicz w „Bez dogmatu” i niech cię to zachęci.

A prócz tego o jednym nie zapominaj:

Dusza miewa myśli, któremi karmi sama siebie. Ten skarb nie powinien do nikogo należeć jak tylko do niej. Dzisiejsi ludzie zanadto żyją na oczach publicznych, za mało bywają samymi sobą. Ugość samego siebie swojemi najlepszymi myślami i niech nikt o nich nie wie. Niech to będzie Twoja modlitwa cywilna. Wzory takich modlitw podał Janusz Korczak w ładnej książeczce, wydanej u Mortkowicza. Tam jest modlitwa uczonego, modlitwa matki, modlitwa chorego, nawet modlitwa prostytutki i t. d. Zapewne zapytasz, czemu Korczak nie schował tych modlitw dla siebie? Czemu — poto, żebyś ty się o tem dowiedział i naśladował. Niezużyte i niezmarowane zapasy poezji w tobie doprowadzą cię do swojej pobożności.

PRZEMYSŁAW
MĄCZEWSKI

CHRYSTUS — APOLLO

Sugestia „Listów z Krakowa” J. Kremera nie zaznacza się nigdzie tak wyraźnie, jak w „Akropolisie”. Być może, wytknie mi ktoś tak zwaną „wpływologję” — zarzut dzisiaj bardzo modny — na co odpowiem cytatem z korespondencji Wyspiańskiego:

„Ja mam pasję do książek i kocham się w książkach... Ja się z nich składam i niemi żyję”... (Do Opieńskiego — 28.I. 1896).

Nietylko muzyka zegarów i dzwonów krakowskich, ale również cały czar, który zawładnął Katedrą Wawelską w noc Zmartwychwstania, tkwi jakby w załączku w „Listach” Kremera. Oto, co pisze nasz estetyk w liście IX o sztuce religijnej:

„Chcesz widzieć i czuć czem jest sztuka świętej, religijnej majestat? Wstąp do przybytku katedr naszych katolickich, ale z sercem pełnym wiary. Słuchaj! Jęknął grzmiący głos organów; chór rozbrzmiał hymnem i psalmem na chwałę Panu na wysokościach, a Pan przybywa na wichrów i piorunów wozie... Świątynia pełna głosów; to wzdychają, szaczą się, kwilą pieśnią tęskną, to znów rosną i kołyszą się burzą i gromem. A w tych głosach słyszysz modły, prośby natury całej i miliardów ludzi, i tych co byli, i są, i co będą. Tu czas stracił panowanie, tu wieczność osadziła stolicę swoją... Na wysokości ołtarza rozpięty Chrystus Pan obliczem pełnym miłosierdzia rozgrzewa nadzieją i miłością duszę... z nisz, ze ścian świętych jaśnieją malowane obrazy i wymowne postaci niemych posągów, co marmurowymi ustami przemawiają o tajemnicach wiary, o głębinach niezbadanych ducha człowieczego i przeznaczenia świata... Zaiste, ta jest wszechmocna potęga sztuki religijnej, bo ona jest szczytem sztuki wszelkiej.”

Analogie każdemu czytelnikowi „Akropolis” narzuca się same. Wyspiański pewne motywy rozwinął, inne zostawił w cieniu. Ów Pan, „przybywający na wichrów i piorunów wozie” przemienił się w Apollina. Chrystus wystąpił w chwałę Zmartwychwstania, jako Salwator z triumfującą chorągwią zwycięstwa nad śmiercią.

W roku 1900 wydał Tadeusz Wojciechowski znakomite dzieło o Katedrze Wawelskiej, w którym postawił hipotezę, że pierwotnym patronem tej świątyni był nie św. Wacław, lecz Chrystus-Salwator. Domyśl uczonego porusza wyobraźnię poety. Wyspiański przyjmuje go za pewnik i oto Katedra przedstawia mu się w nowym świetle. W świątyni, której patronem jest Chrystus-

Salwator, *Christus triumphans*, pan odrodzenia i życia, nie może władać trumna św. Stanisława — symbol śmierci.

W poprzednich dziełach poety, ilekroć ascetyczne zasady chrystjanizmu zetknęły się z mocnym instynktem pełnego, radosnego apollinijskiego życia, następowało zawsze starcie się tych dwu potęg. Tak było w dramacie o Bolesławie Śmiałym, tak w „Legionie”. Ten sam konflikt rozgrywał się w „Wyzwoleniu”. Konrad jako wyraziciel żywotności narodu walczył z uludą mesjanizmu, czyniącą z chrześcijańskiej idei ofiary, wyrzeczenia się doczesności i wyzwolenia przez śmierć — posłannictwo Polski.

Dopiero w „Akropolisie” następuje pojednanie obu potęg. Chrystus-Salwator jest antytezą kultu męczeństwa i śmierci. Jest to Bóg siły i afirmacji życia — nie wróg, lecz sprzymierzeniec Apollina. Wyspiański przeciwstawia go Chrystusowi z krzyżu, konającemu w cierniowej koronie. Jest w Chrystusie-Salwatorze niejeden rys Jehowy ze Starożytności. Bóg Izraela ma jakby dwa oblicza. Jedno pełne surowości mściwego władcy, który karze okrutnie nieposłuszeństwo swego ludu. Drugie oblicze promienne i łaskawe zapowiada nieprzebraną obfitość dobrodziejstw, szczęście i sławę. Do tego łaskawego Jehowy, identyfikując go raz po raz z Chrystusem, zwraca się z gorącą modlitwą Harfiarz psalmista.

Niejednokrotnie podkreślano renesansowe ujęcie symbolu Chrystusa-Apollina w „Akropolisie”. Istotnie jest w tem styl renesansu, lecz połączenie obu postaci przypomina raczej koncepcję Ryszarda Wagnera. Wszak jego ideał artystyczny: zjednoczenie wszystkich sztuk w dramacie — nie spełnił się chyba nigdzie tak szczęśliwie, jak w „Akropolisie”.

W rozprawie „Die Kunst und die Revolution” (1849) wzywa Wagner do wyzwolenia sztuki z więzów ustroju kapitalistycznego, w którym spadła do roli zarobkowego rzemiosła. „Z obarczonych znójem najemników chcemy się stać ludźmi, których życie będzie piękne i dla których świat stanie się odkrytym na wieki źródłem estetycznego używania. Niechaj rewolucja da człowiekowi wieki, sztukę i piękno!”

Z zachwytem wyraża się Wagner o kulturze i sztuce helleńskiej:

„Kiedy duch grecki przewyciężył surową religję przyrody, wyniesioną z azjatyckiej ojczyzny, i kiedy postawił u szczytu religijnej samowiedzy pięknego, silnego i wolnego człowieka — wówczas znalazł swój najodpowiedniejszy wyraz w Apollinie, który był właściwie naczelnym, narodowym bogiem szczeptów helleńskich”.

Chrześcijaństwo odnosiło się wrogo przez całe wieki do apollinijskiego kultu „pięknego, silnego człowieka”. Dopiero Renesans „zaczął przedstawiać tematy religijne i uduchowione utwory fantazji w szacie zmysłowej piękności, budzącej artystyczną radość”.

Jednak Wagner w swoim własnym ujęciu chrystjanizmu schodzi ze stanowiska renesansu. W rozprawie o sztuce i rewolucji Chrystus jest przedewszystkiem boskim nauczycielem ewangelji wszechbraterstwa i równości społecznej. Było to zgodne z hasłami epoki „wiosny ludów”, lecz w istocie dalekie od kultu Apollina. A jednak ideałem Wagnera było połączenie obu postaci:

„Jezus wskazałby nam, że jako ludzie wyszczyliśmy sobie równi i bracia. Apollo wycisnąłby na tym wielkim związku braterskim pieczęć siły i piękna i podźwignąłby człowieka ze stanu wątpliwości o swej własnej wartości do stanu uświadomienia swej najwyższej, boskiej mocy. To też pozwoliłoby nam postawić ołtarz przyszłości wobec praw życia i żywej sztuki dwom najwznioślejszym nauczycielom ludzkości: Jezusowi, który za nią cierpiał i Apollinowi, który ją podniósł do radosnego dostojństwa”.

Symboliczne połączenie Chrystusa z Apollinem w „Akropolisie” Wyspiańskiego jest naturalniejsze, bardziej konsekwentne. Chrystus-Salvator nie jest Jezusem cierpiącym, lecz radosnym, triumfującym. Jest to Chrystus, jak go pojmował Mickiewicz w wykładach paryskich: „Już nie stojący przed Pilatem, ale zmartwychwstały i przemieniony, zbrojny we wszystkie znamiona potęgi”.

Wyspiański, uwydatniając w Salwatorze pierwiastek mocy, mógł go zespolić o wiele silniej z Apollinem, aniżeli to uczynił Wagner. I dlatego chociaż w „Akropolisie” Chrystus-Salvator i Apollo występują oddzielnie, chociaż okrzyk Salwatora ze szczytu wielkiego ołtarza: „Jam jest siła, moc!” rozlega się samoistnie, jako zapowiedź tryumfalnego wjazdu Apollina — to jednak pod koniec dramatu, w ostatnich psalmach Harfiarza, następuje obu tych postaci utożsamienie.

J. E. SKIWSKI

POCHWAŁA HEREZJI

(Dialog niezupełnie fikcyjny)

Osoby.

On. Muskularny, uprzejmy, niekreślonego wieku. Mimika łatwa, gotowość do uśmiechu. Ale potrafi być autorytatywny, niemal groźny. Wygląda na człowieka, który nigdy nie da się zaskoczyć. Ma jakby w pogotowiu odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania. Trzyma się skromnie, jest nawet nieco pochylony. Ale patrząc na niego, odnosi się wrażenie, że oto lada chwila — niech tylko zajdzie potrzeba — zrzuci marną rękawicę i stanie w postawie obronnej. Ma napewno jakieś sekretne chwytaki. Kto wie, czy nie uprawia rzemiosła. Jego ręce, żyłaste i chropowate, giętkie i chwytne, wskazują na to. Wszystkie te cechy raczej się zgadują, niż się je dostrzega; są jakby wtulone w tę postać szarą, a jednak imponującą. Uśmiechając się, pokazuje zęby, białe i równe. To jedyna u niego oznaka kokieteryj.

Ja.

Ja. Dobrze, że mogę z panem pomówić. Znudziły mi się polemiki, które zmuszają do zużywania energii na pokonywanie bezwładu przeciwnika.

On. (uśmiecha się, z dobroduszną brawurą). A no, pogadamy. I żeby zaraz, jak pan to lubi, chwycić byka za rogi, zapytam, czy pan czytał książkę, którą tyle osób panu polecało: Karl Adama „Le vrai visage du catholicisme”? Naturalnie, w tłumaczeniu francuskim...

Ja. Czytałem.

On. (spojrzenie badawcze)

Ja. Poglębiło się wrażenie dystansu. Ale co tam książka, ta czy inna, zresztą i o niej pomówimy. Wogóle to niedobrze, kiedy przywiązuje się tak dużą wagę do poszczególnej książki, rzekomo wyjaśniającej wszystko. Ukazywanie się książek z taką pretensją jest symptomem niepokoju i niepewności... Człowiek silny i pewny siebie nie ma tej drapieżnej pożyteczności chłonięcia prawdy wielkimi haustami wprost ze źródła. Znosi spokojnie, że prawda udziela mu się częściowo, że mu znika sprzed oczu, i znowu w jakimś przelotnym błysku ukazuje się na niespodziewanym zakręcie. Ta wasza chęć opychania ludzi prawdą, tak by już nigdy nie zaznali głodu, ten wasz system asekuracyjny nie przekonywa mnie.

On. A jednak prawda jest albo jej nie ma. Skoro jest, trzeba chcieć ją poznać.

Ja. Panie, mówmy jak dorośli! To znaczy swobodnie, bez stwarzania sztucznych przeszkód, bez łapania się na różne „albo-albo”, na których tkwi zazwyczaj coś nieciekawego; nad czym nie warto się biedzić.

On. (przybiera znowu wyraz swobody, wyjął go ze swej kolekcji masek i przywdział z nadzwyczajną wprawą).

Rozumiem pana doskonale. Nikt lepiej od nas nie rozumie tej potrzeby ryzyka, tej — śmiech rzec — potrzeby awantury. Tylko niechże pan nie szuka tych cech w dziełach... teologicznych! Jeśli panu chodzi o ten rozmach, o ten szeroki oddech myśli szybującej wciąż wyżej, to przeciwieństwie poza katolicyzmem go pan nie znajdzie. Tem właśnie różnimy się od wszystkich innych doktryn, że nie wyłączamy z naszej nauki nic, co żywe. Nic nie zostaje poza jej nawiasem. Mamy wśród nas takiego genialnego warjata jak Chesterton, który — jak sobie pan chce — ale jest żywym zaprzeczeniem rutyny, sztywności, konwencjonalizmu...

Ja. Mówi pan: Chesterton. Wiem, że macie go w swej kolekcji. To jest wasz rezerwat swobody. Chwilami całość waszej doktryny sprawia na mnie wrażenie wielkiego systemu rezerwatów. Przypominają mi się ogrody zoologiczne, w których zwierzęta czują się (podobno?) tak, jakgdyby były u siebie. Chodzi właśnie o to, jakgdyby. Czy można stworzyć surogat czegoś, co jest jaskrawym zaprzeczeniem idei surogatu? Przyznam się, że bliższy mi jest szalony mnich Savonarola, tępiący życie bezlitośnie, podcinający je u korzeni, niż rozbrzykany i wesolutki Chesterton, król Nietzscheańskiej galerji „Falschmüntzerów”. Kiedyś napisałem, że sprawia na mnie wrażenie człowieka, który układa pasjans znaczonemi kartami.

Jego pasjans musi wyjść. Ale pasjans jest wtedy zabawny, kiedy tylko może wyjść. Jest w tym pisarzu nieznośna komedia swobody, zmierzającej do zgóry założonej tezy. Ksiądz Brown zawsze będzie mądrzejszy od wszystkich detektywów świata, ale z urzędu musi robić głupią minę i zachowywać się jak matol. Kiedy przeczytam pierwszy wiersz Chattertona — widzę już ostatni. — Postępowanie tego pisarza jest czemś więcej niż manierą literacką. Jest nowym typem apologetyki „od niechęci”.

On. A tom źle trafił! Trudno panu dogodzić. Ale mniejsza o to, nie będę wojował o Chesterton.

Przyzna pan jednak, że przynależność do obozu katolickiego takich pisarzy jak Chesterton jest dowodem naszej ogromnej żywotności. Niech pan spojrzeć wokół. Czy nie uderza pana coś szczególnego, coś niespotykanego, gdzieś indziej, skoro porównywa pan inne religie z katolicyzmem? Czy nie widzi pan właśnie nas w tej niespotykanej nigdzie rzeźbi uczynić zadość wszystkim potrzebom człowieka? I czy można nam z tego czynić zarzut? Powie pan: rezerwat swobody. Ale tą złośliwością nie podważa pan naszej wielkiej pracy, która zmierza do objęcia całego człowieka.

Ja. Mit o „całym” człowieku jest jednym z najbardziej podstępnych i szkodliwych. Niema „całego” człowieka. Człowiek jest pozycją wiecznie otwartą. Mówiąc o całym, „integralnym” człowieku buduje się pułapkę, którą się upodabnia do nieskończoności... W zorganizowanym przez was luna-parku, wśród tysięcy automatów jest jeden z napisem: „anty-automat czyli niespodzianka”. Bo i ona jest potrzebna, żeby człowiek był już zupełnie „cały” i żeby ta całość zawierała nawet to, co nie da się zmieścić w żadnej pomyślanej całości.

On. A jednak pozostają przy swoim: jest coś barbarzyńskiego, sprzecznego ze zdrowym rozsądkiem w zarzucaniu naszej nauce jej doskonałości, uniwersalności.

Ja. Zejdźmy znowu na niniejszy przykład. W książce Karla Adama jest rozdział o świętych obcowaniu. Nie potrzebuję pana zapewnić, że nie mam w stosunku do tego tematu żadnego z typowych sprzeciwów ateusza, „libertyna”. Przedmiot tych rozważań jest dla mnie zupełnie realny. Ale właśnie jako człowiek, mający wycucie życia religijnego, nie mogę znaleźć dla siebie miejsca w dziedzinie tak znakomicie uporządkowanej. Kiedy katolicyzacja porządkować to, co nazywamy „doświadczeniem religijnym”, robi się duszno. Stajemy wobec świata przygotowanego zgóry do spożycia. I tutaj powtórzę to, co kiedyś pisałem, że pomiędzy religią dewotki i religią katolika oświeconego niewielka jest różnica. Wspólny im jest pewien „porządeczek”, jakaś osiadłość uczucia religijnego, jakiś komfort religijny, który pewnych ludzi zawsze będzie odstręczał. Przewidziane jest wszystko. Wiadomo jakimi drogami kroczy laska, jacy święci co mogą u Boga wyjednać, jaka jest moc, zakres i władza odpustów. A na czemże polega religijność, jeśli nie na rzuceniu się naoslep w tę przepaść, którą nazywamy Bogiem? Tu jest ryzyko absolutne, niema religijności bez tego ryzyka.

On. (poważnie, pierwszy raz mam wrażenie, że mówi serio).

Drogi panie, (kładzie mi rękę na ramieniu, ścisza głos) rozumuje pan tak, jakby pan powiedział, że skoro są znane zgóry wszystkie litery alfabetu, więc niewarto pisać, wszystko bowiem, cokolwiek pan napisze jest już zawarte potencjonalnie w alfabecie. Proszę pana (ożywia się), przecież to zupełnie samo. Przecież dystans pomiędzy formą, zarysem czegoś — a irracjonalnym bogactwem przeżyć jest nieskończony. Mówi się np. „miłość ojowska” — czyż jest pojęcie bardziej utarte, zużyte? A jednak wciąż napelnia się nową treścią. Dlaczegożby więc w utrwalonych formach życia religijnego nie miała się zawrzeć cała rozmaitość przeżyć religijnych, nieprzewidziana w swej treści?

Ja. Cieszę się, że pan przemówił tym językiem. W tej chwili nie widzę w panu tego,

co mi zawsze przeszkadza kiedy rozmawiam z katolikami:łowcy dusz. Mówi pan rozsądnie. Miłość ojowska? Pozostawmy przy tym przykładzie. Znam rodziny, w których uczucie miłości między rodzeństwem, rodzicami i dziećmi nabrało takiej tresury, stało się czemś tak pewnym i ugruntowanym, że podsuwa każdej osobie dramatu gotowe kwestie i gotowe odpowiedzi, gotowe odruchy, gotowe postawy. I zdarza się, że ktoś z takiego środowiska, jeśli tylko jego uczucie przekroczy miarę owego, szczerzego zresztą konwensansu, musi dosłownie walczyć z miłością do rodziców, którą mu wszczepiono — aby dotrzeć do tej, którą czuje naprawdę. To samo widzę w katolicyzmie. Przyznał pan, że jeszcze jeden zacytuje przykład z Karla Adama. Wspomniany rozdział kończy się takimi oto słowami:

„O świecie! Ocean miłości i światła

rozlał się nad tobą!

O świecie, tak spozoru biedny i zimny,

jakże jesteś bogaty i piękny!

O Kościele święty!”

Otóż przyznam się panu, że wystarczy mi przeczytać takich parę zdań, aby książka, która zresztą zawiera moc ciekawych rzeczy, stała mi się czemś nie do zniesienia. Pomijam już, że katolik wymawiający słowa „świat”, wygląda dziwnie — tak dalece obce mu jest wycucie przyrody poza ludzką. I trudno też zrozumieć, dlaczego ten świat tonie w potokach miłości, skoro (wyjąwszy człowieka) nic dla niego religia chrześcijańska nie zrobiła, skoro nie zna go wogóle, a jej najświetlejsi przedstawiciele są w wielkim zakłopotaniu, kiedy im w tej materji zadawać pytania. Pomijam tę trudność, wynikającą z niespornego dla mnie faktu, że chrześcijaństwo zajmuje się, że tak powiem, człowiekiem przejściowym: człowiekiem, który już się oderwał od natury, a jeszcze nie stał twórcą historii. Czy apostołowie nie byli czasem takimi ludźmi zasiedzionymi w powietrzu i czy nie temu właśnie, zawdzięczali swe powodzenie? Była to pozycja nowa i pociągająca: być tylko człowiekiem, równocześnie wolny od natury i wolnym od historii. W tej podwójnej wolności tkwi bodaj sekret chrześcijaństwa. — Ale dość dygresyj! — Wracam do obserwacji. Otóż czytając książkę Adama, widzę, jak dalece bigotka jest w katolicyzmie osobą reprezentatywną. Jej słodkawy ostry, czarny kontur zawsze skądś się wyłoni, choćby z kunsztownych zwojów erudycji teologicznej.

Ta atmosfera asekuracji religijnej tkwi w samej doktrynie. Ale człowiek nie chce być tak dokładnie obsłużony. Chce działać na swoją rękę. Zaryzykuje powiedzenie, że człowiek religijny zdobywa Boga wciąż na nowo. Ze ta stała gotowość rzucenia się w przepaść w pogoni za Bogiem jest istotą religijności.

On. Zapomina pan, że katolicyzm jest religią dla wszystkich. Jesteśmy uniwersalni nie tylko w głąb, ale i w szerz; nie tylko dajemy pełną wiedzę o stosunku człowieka do Boga i wykład moralności prowadzącej do zbawienia — ale dajemy ten pokarm wszystkim. Tylko dzięki temu uniwersalizmowi metod, łączącemu się najściślej z uniwersalizmem treści, zyskał sobie katolicyzm tak przemożny wpływ na człowieka. Czyż to nie jest fakt najwyższej wagi, że co dnia miliony ludzi w ten sam sposób się modli, słucha tej samej mszy, korzysta z tych samych sakramentów, a w potrzebie zwraca się o pomoc do tych samych świętych? Czy nie słyszy pan tu jakiegoś żołnierskiego rytmu, czy w tem pozornym „automatyzowaniu” nie tkwi jednak wielki patos?

Zresztą nie żądamy wcale, by ci, których życie religijne płynie głębszym nurtem, którzy szukają Boga na własnych drogach, byli w tych poszukiwaniach czemkolwiek ograniczeni. Powiem więcej. Któż, jeśli nie Kościół katolicki, dostarczy im lepszych źródeł, skuteczniejszej pomocy, wspanialszych przykładów w tym wielkim a znojnym wysiłku ducha?

Ja. Rozumiem urok katolicyzmu płynący z jego surowej, scementowanej pracą wieków tradycji. Dodam od siebie, że właśnie ta surowość i ta, że tak rzekę, lacińska składnia katolicyzmu, jest dla mnie samego źródłem dużej satysfakcji estetycznej. Np. ślub katolicki, ten najrzykowniejszy z sakramentów, w surowości obrzędu podobny do egzekucji, ileż ma powagi i hieratycznego spokoju! Jakże inny jest ślub protestancki, pełen znacznej pastorskiej paplaniny. Wysoka oszczędność gestu, obok przepychu ceremonjału, świadczy o wspaniałej kulturze estetycznej katolicyzmu. Niektóre katolickie sakramentalja, jak np. zwykle poświęcenie gmachu, odbywają się w skrócie tak olbrzymim, a jednocześnie tak pełnym powagi, że darmoby tu szukać analogji.

Ale na religję składają się dwa elementy. Element owej stałości, utrwalonych reakcji, stanowiących dla wierzącego system odporny wobec nawałnicy życia. I drugi element: zdobywczości, wynalazczości religijnej. Aby owa odporność i dyscyplina nie zwyrodniała w system nałogów, muszą mieć nieprzerwane czucie z tym wielkim oceanem religijności, który jest ich żywym źródłem.

On. Nie przeczę. Ale katolicyzm właśnie ma wszystko w swem ręku. Miarkuje wybujałość, utrzymuje wymienione przez pana elementy w równowadze. Nie dopuszcza, by przerost jednego z nich zabił lub zniekształcił drugi. Koncentruje w sobie całe życie religijne, nie pozwalając, by cokolwiek wyrastało na jałowym gruncie herezji, w odcięciu od żywych źródeł wiary i tradycji.

Ja. Zapomina pan o jednej ważnej rzeczy, o tem co nazwałbym świętą przesadą herezji. Powiadacie, że herezja jest zacieśnieniem się, upieraniem przy prawdzie fragmentarycznej, bez względu na jej związek z całością. I powiadacie jeszcze, że wszystko, co jest w herezji żywotne, co jest w niej owym cem wiary i trafnego widzenia, przechowuje się u siebie. Zdaje wam się, że zapobiegacie procesom wyodrębnienia przez ich zlokalizowanie, przez włączenie ich w ramy waszej organizacji. Ze już zgóry zakneblujecie usta herezji, dając jej rosnąć w waszym rezerwacie. Powiadacie: rewolucja? Dobrze! Ale my i rewolucję zrobimy własnymi środkami. — I tu jest omyłka w kalkulacji. Bo istotą rewolucji jest moment zwrócenia biegu rzeczy w inne, nowe koryta. Potem, sprawy wrócą do starego koryta. Ale ta chwila zerwania więzów nastąpić musi. Tego nie można ani zagrać ani zażegnać.

Co innego jest wyjechać ze swojej wsi i powrócić do niej po roku, a co innego nie wjeżdżać wcale. Ten rok wędrówki wnosi coś, co nie da się zastąpić. Otóż w człowieku istnieje ta potrzeba ekscentryczności, która nie ma ekwiwalentu. A że jest ona motorem postępu i doskonałości, przeto musicie ją uznać. A zresztą, możecie równie dobrze jej nie uznać — jeśli potem uznacie to wszystko co wniosła żywego i prawdziwego, jeśli jej zdobywcze uznacie za swoje błogosławiąc je hieratycznym gestem.

On. Przechyla się na fotelu. Przez duże okno widać niezabudowane jeszcze podmiejskie place. Dudniąca przed chwilą ulewa zmyka na zachód. Widać jej strategiczny marsz tak dokładnie, jakgdybyśmy byli na wolnej przestrzeni. Patrzyłem cały czas w okno. Teraz dopiero spojrzałem na Niego. Odnosiłem wrażenie, że jesteśmy w przedziale kolejowym i na najbliższej stacji musimy się rozstać. Choć jeszcze jest, ale jakby go już nie było. Jego głos, jego wzrok, jego ruchy, należą już do jakiejś innej rzeczywistości, nie stykającej się z moją w żadnym punkcie. Zapina kurtkę ruchem, które nasuwa mi słowa Ewangelji: strząśnijcie proch z nóg waszych... Ogląda się, jakby sprawdzając czy czego nie zapomniał. Kładzie jakieś papiery do kieszeni, patrzy na zegarek. Widać, że się śpieszy. Żegna się ze mną automatycznie, jakby mnie nie widział. Odchodzi.

K. W. ZAWODZIŃSKI

MAŁE NIEŚCISŁOŚCI A GRUBY DEFECT KULTURY

Spóźniający się dziś stale czytelnik pism polskich, niedawno dopiero przeczytałem fragment komedji p. Antoniego Wysockiego „Kwiaty na stepie” (Nr. 17 „Pionu”). Niewielki to fragment, jedna tylko kolumna pisma, a uwag nasuwa niemało. Choćby się nie było pedantem z urodzenia, nauczyłby się danterji długa służba wojskowa. Totcz pierwsze co przy przegłądaniu rzuciło się w oczy starego żołnierza to zdanie: „do czwartej kawalerskiej dywizji czwartego pułku dońskiego kozackiego”. Jakież to „dywizje” w pułku? A jeśli tu słowo „dywizja” użyte zostało zamiast „dywizjonu” (co się czasem przy nieznanomości terminologii wojskowej polskiej zdarzało, zwłaszcza na terenie Galicji, gdyż w wojsku austriackim używano się „Division” w obu znaczeniach, wyróżniając kontekstem) to nie było chyba pułku kawalerji o czterech dywizjonach, napewno zaś za czasów Mikołaja I w Rosji. Może jednak to niezręczny szyk słów (jak i w nazwie pułku) lub inwersja mająca naśladować ciężki język urzędowy wojska rosyjskiego i znaczy to poprostu „w czwartym dońskim pułku czwartej kawalerskiej dywizji”? Wówczas nie jest to nonsensem, ale tylko nieprawdą historyczną. Istotnie, za ostatnich czasów cesarstwa rosyjskiego dywizje kawalerji składały się każda z dragonów, ulanów, huzarów i kozaków, po jednym pułku każdego rodzaju jazdy, przytem pułki te nosiły numer taki sam jak numer dywizji, np. 1 Sumski pułk huzarów należał do 1 dyw. kaw., tamże należał 1 p. ul. i t. d., ale w 1840 pułki jazdy były jeszcze sprowadzone w wyższe związki według swych rodzajów, były więc dywizje huzarów, kirasjerów, ulanów etc.: tak jak w wojsku polskiem za Konstantego była osobno dywizja strzelców konnych a osobno ulanów. Kozacy traktowani jako konnica „irregularna” (formalnie tak się nazywała do końca cesarsko-rosyjskiej armji) formalnie do tych wyższych jednostek kawalerji regularnej nie należeli. Zeby w kozackich pułkach służyli arystokraci nie-kozacy, należało to w owych czasach do wyjątków chyba jeszcze rzadszych, niż później, od japońskiej wojny zaczynając. Udział 4 p. kozaków dońskich w walkach w kraju zakaspjskim w r. 1840 wydaje mi się wielce wątpliwy, jak wogóle stan wojny w tamtych stronach w owej epoce. Zaczynały się tylko wówczas ekspedycje wojenne w owe krainy, dokonywane małemi miejscowemi siłami. W chwili obecnej nie mam możności odświeżyć swych wiadomości w tym zakresie. Ale amator wojny, który „na własną prośbę” poszukiwał przygód, a takra zdaje się ma być w intencji autora rotmistrz ks. Wiazziemski miał drogę otwartą i utartą: siedł na Kaukaz, gdzie miał egzotyki i walk po dziurki w nosie, w tym celu zaś przeniósł się z gwardji (nie z „lejbguardji” — to słowo wchodziło do tytułu pojedynczych pułków gwardji cesarskiej, ale ogólnie mówiono „służyć w gwardji”) do pułków kawalerji lub nawet piechoty tam działających (np. Lermontow, zresztą niedobrowolnie, z jednego z najarystokratyczniejszych pułków, lejbguardji huzarów, do Niżegorodzkiej dragonów a za drugim nawrotem do Tengińskiego pułku piechoty) lub też bywał „przykomenderowany” do działających tam kozaków, przeważnie jednak terskich lub kubańskich nie zaś dońskich.

Oko starego kawalerzysty i koniarza nie zostało też zadowolone alluzjami do wyścigów konnych: „biegaly pańskie konie”, „pola dla biegów... dogodne i umiejtnie przygotowane”, „pogoda była dla zawodów idealna”, „zdobyicie nagród... zasług mych koni i trenerów”. Wszystkie te wyrażenia, zarówno leksykalnie, jak i pod względem treści są stosowane w odniesieniu do rozwinętego i zindustrializowanego sportu wyścigowego w początkach wieku XX, stoją zaś w jaskrawej sprzeczności z charakterem rodzących się wówczas wyścigów, które prymitywizmem swych urządzeń i amatorskim stosunkiem do nich uczestników przypominały raczej dzisiejsze prowincjonalne „concours hippiques”. Jak wyglądały ówczesne „kursy”, gdzie czasem „ścigali się” sprowadzani przez „anglomanów” ku zgorzeniu powszechnemu „zokiej”, można mieć

wyobrażenie na podstawie szeregu źródłowych studjów p. Witolda Pruskiego, rozrzuconych w latach ostatnich po łamach „Jeźdźca i Hodowcy”.

Ale i w innych dziedzinach ówczesnego życia, dotkniętych przez autora, znajdujemy rzeczy wywołujące zdziwienie. Choćby zwrot „per pan” do księcia Wiazziemskiego, więc Rurykowicza autentycznego, potomka rodziny bardzo wówczas znakomitej, zwrot który jest tu używany, w domu światowym i konserwatywnym, nie obcy tytułomani ówczesnej, wbrew do dziś trwającej w Polsce tragedji posługiwania się statego tym tytułem (w przeciwieństwie do tytułu „hrabia”); w Rosji zaś tradycja nakazywała nieopuszczanie tego tytułu nawet w stosunkach bardzo poufalitych, bodaj nawet przy „tykaniu się”. Jeszcze bardziej zadziwia w ustach ówczesnego snoba marzącego o tytułach posiadającego „rangę dworską”, forma „fajlajny dworu”, zamiast spodziewanej rosyjskiej „frejliny”; a co już zgola jest niemożliwe to niewiedza zamabelana „hrabiego” Lipniewskiego, że ten tytuł przysługiwał wyłącznie pannom, jakby zresztą mógł on zrozumieć lacno ze znaczenia niemieckiej formy przez siebie użytej, że frejliny traciły tytuł wychodząc zamąż, tembardziej nie mogły go uzyskać przez zamążpójście nawet za księcia; istniały inne tytuły i odznaczenia dla arystokratycznych mężatek, ale o tem nie miejsce tu się rozwodzić.

W związku z ks. Wiazziemskim chciałbym wypowiedzieć jeszcze wątpliwości o informacji z innej dziedziny. Młody ten oficer jest admiratorem Niemcewicza tak jak autentyczny ks. P. A. Wiazziemski, poeta osobisty znajomy, przyjaciel Puszkina, słynny literat starszy od niego o kilka lat.

Ale co jest prawdziwe w stosunku do ojca czy stryja, nie wydaje się prawdopodobne w stosunku do syna czy bratanika. Niemcewicz wychodził z mody, a równieśnik Lermontow, jeśli był wyjątkowo polonofilem, to napewno kierował swe zainteresowania do nowszej literatury polskiej, do wielkich romantyków, w każdym razie do czegoś bliższego ówczesnej atmosferze literackiej Rosji, przekwitającego już romantyzmu i rodzącego się wspaniale realizmu.

Ale rozumienia ówczesnej atmosfery kulturalnej trudno się spodziewać po autorze „Kwiatów na stepie”; odbiloby się to na języku, a w nim, pomimo prób stylizacji, bardzo nieudanych, (np. ustęp z „Gazety Kijowskiej”) mnóstwo anachronizmów leksykalnych i pojęciowych. Słowo „ziemianie” nie było wówczas w użyciu; jeszcze za mojej nie tak odległej młodości miało ono posmak wkrzeszonego archaizmu; w 1840 r. mogła być mowa o zjeździe „szlachty” lub „obywatelstwa”. Wyrażenie „stosunki się wyrównały” wątpliwe czy mogło być w obiegu dawniej niż 15 lat temu — napewno nie 90; niewiem czy się „wychodziło ostentacyjnie”, a w majątku był raczej „pisarz prowentowy” niż „kasjer”; „rekonesans polityczny” i wówczas i dziś jest wyrażeniem niezrozumiałem i niezręcznym, gdy chodzi o patrol wojskowy do pomocy policji.

Nie znam całości utworu, nie mogę więc sądzić o jego zaletach, które skłoniły sąd konkursowy do jego nagrodzenia; w znany mam fragmentcie ich nie widać. Również może poznanie całości usprawiedliwi tytuł „Kwiaty na stepie”; tymczasem rzecz dzieje się na Wołyniu, w Czwetiertni, co od stepów jest dość odległe. Nazwisko Wysockich jest związane w historii i w literaturze z Ziemią Ruską dawniej Rzeczypospolitej. Można sądzić, że p. A. Wysocki stamtąd pochodzi, sporo jednak zapomniał z własności swej ściślejszej ojczyzny i geografja jego ma posmak modnych i dziś we Francji uniesień nad „immensité de steppes” między Warszawą a Białymstokiem.

Uwagi o drobnostkach w utworze, który może nie rościć sobie praw do nieśmiertelności, zajęły mi trochę za wiele miejsca; dlatego też nie będę mógł uzasadnić swego zainteresowania niemi. Poprostu dostrzegłem w nich niezmiernie trwającą u nas niechęć do ścisłości, do sumiennego przestudjowania przedmiotu, który się obiera za temat. Te szczegóły i szczególiki są sympto-

matem zewnętrznym braku „namiętności prawdy”, która jest podłożem wszystkich wielkich kultur i wszelkich literatur, która tak genialnie została sformułowana przez Pascala w „Prowincjałkach”. W epoce rozkwitającego u nas realizmu bezkompromisowa namiętność prawdy zadecyduje czy mamy do czynienia z przelotną manjerą literacką, czy też jesteśmy w obliczu powstawania dzieł trwalitych i mających zapisać poważne właśnie pod tym względem luki skarbcza naszej literatury. Wiatrologja, nawet w szczegółach, jest spokrewniona z konstytucją dzieła, gdy jest ono posągim z blachy; tembardziej jest ona miarodajna w utworach, od kilku lat wciąż mnożących się, które stawiają sobie za zadanie rekonstrukcję przeszłości i ewokację atmosfery określonej historycznie epoki. Kiedy p. Herminja Naglerowa ubiera rajtara w buty „z koletami” („Pion” Nr. 19), nie wiedząc, że

kolet istotnie wchodził do ubioru rajtara ale jako kaftan, nie jako rozszerzona u góry cholewa, to jest błąd bez znaczenia, bo tematem autorki nie jest epoka wojen szwedzkich; ale kiedy p. Wołoszynowski znajduje „bary” (popularne restauracje) w Warszawie 1863 r. to już jest gorzej i daje miarę, słuszną po sprawdzeniu, wartości jego dzieła. Zaatakowanie „Ogniem i mieczem” od strony zgodności z historją niech będzie ostrzeżeniem dla współczesnych pisarzy. Tradycja słabego przygotowania naukowego do rekonstrukcji przeszłości powinna być raz zerwana. A że u nas może ona poszczycić się dość wybitnymi przedstawicielami, świeżo przekonałem się z bólem serca, odczytując „Starą baśń”, dzieło przeciw autora sumiennego, i o potężnej erudycji w niektórych epokach historji. W tem jednak dziele jakże daleko stał w swej rekonstrukcji przedhistorycznej Polski od poziomu ówczesnej wiedzy! Uprzymiarniam to sobie czytając dzieła A. Hilferdinga, a 20 lat wcześniej, które mimo stronniczości słowianofila rosyjskiego, uwydatniają naiwność polskiego powieściopisarza. Ale o tem i o szkodach stąd wynikających kiedyindziej.

ŻYCIE LITERACKIE

Ze wstępu prezesa Związku, Kosidowskiego, dowiadujemy się, że Związek się zorganizował i zamierza od jesieni przystąpić do ofensywy kulturalnej w Poznańskim. Na początek wznawiają wydawanie „Zycia Literackiego”. Nr. 1 jest zredagowany źle — mniej więcej jak wszystkie polskie pisma literackie — ale ma nowy ton, czy front. Ulatowski w „aforyzmach aktualnych” zwraca się przeciw zakutym praktykom „życia”, przeciw tendencjom do proletaryzacji („Gnuśność swą ludzie nazywają instynktem towarzyskim; bo towarzysztwo jest uleganiem”), ale i przeciw „zasadzie wodzostwa”. Jastrzębiec oświadcza się za intelektualizmem i indywidualizmem, uważa intuicjonizm za kręctwo i twierdzi, że Europa, jeżeli nie chce „zginąć haniebnie” w kostjumie „azjatyckim” musi iść drogą intelektualizmu. W recenzji

o Iwaszkiewicza „Pannach z Wilka” Troczyński dowodzi, że autor nie wyzyskał „perspektyw intelektualnych tematu”. Złe zredagowanie numeru polega na tem: zbyt barokowy styl publicystów, znaczna przewaga publicystyki nad częścią twórczą, i po trzecie: pierwsze miejsca dano autorom zpoza dzisiejszej Polski, Micińskiemu i T. Mannowi. Co prawda artykuł Manna p. t. „Rewolucyjna demokracja” jest wybitny; podaje w wątpliwość, jakoby walka toczyła się między kapitalizmem a proletariatem, podaje w wątpliwość teorię o nadbudowach ideologicznych, twierdzi, że w Rosji nie byłoby Lenina, gdyby przedtem nie było Tolstoja, że renesans humanistyczny nie był wynalazkiem mieszczańskim i t. p. Mann polemizuje z komunistami niemieckimi, ale uwagi jego i w Polsce się przydadzą. K. I.



**PRZESZŁO
60.000 KM
BEZ REMONTU**

Szereg listów pochwalnych otrzymanych od naszych klientów stwierdza doskonale dostosowanie 508-ek do polskich dróg. Niektóre 508-ki przebyły już przeszło 60.000 km., częściowo na trudnych polnych drogach.

**MODEL
508**

POLSKI FIAT

S. A.

ODDZIAŁY I ZASTĘPSTWA WE WSZYSTKICH WIĘKSZYCH MIASTACH.

NA SCENACH STOLICY

„Kochankowie” — sztuka w 3-ach aktach Wacława Grubińskiego na scenie Teatru Kameralnego. Reżyser i dekorator na programie nieujawnieni. (Dn. 23.VI. 1934 r.).

Ta sztuka współczesna, która powtarza za Sofoklesem jeden z najtragiczniejszych motywów literatury światowej, jest programowo rewizjonistycznym utworem: Grubiński — intelektualista, jak wiadomo z jego własnych wyznań, wielbiciel teatru starożytnego, postanowił poddać analizie logiczno-psychologicznej treść motywu sofoklesowskiego, aby wykazać, że prowadzi on do zupełnie odmiennych konsekwencji, niż to się dotąd wydawało.

Rewizjonizm „Kochanków” polega na tem, że gdy Sofokles upatruje sens matczyństwa w jego konsekwencjach etycznych i metafizycznych, Grubiński ogranicza je do zagadnienia ludzkiej świadomości. Matka jest dla syna matką nie dlatego, że wydała go na świat, ale dlatego, że w świadomości syna istnieje ten spłot uczuć i wyobrażeń, który składa się na stosunek syna do matki. Jeżeli ten moment całkowicie wyeliminować, zagadnienie stosunku syna do matki i odwrotnie znika, staje się fikcją, czemś co kryje się w martwych metrykach czy księgach stanu cywilnego, co jednak niema żadnego odpowiednika w duchowej rzeczywistości. Helena i Wiktor są matką i synem w aktach prawnych, stwierdzających pewne fakty natury czysto fizycznej — ponieważ życie ich upłynęło w nieświadomości swego wzajemnego istnienia, ponieważ Wiktor widzi w Helenie tylko kochaną kobietę, Helena zaś w Wiktorze tylko kochanego mężczyznę, przeto nawet ujawnienie tajemnicy nie powoduje żadnych innych skutków jak chwilowe zaskoczenie. Jeszcze chwila, a kochankowie zrozumieją, że ich stosunek oparty jest na żywej treści uczuciowej i że ta tylko treść jest czemś rzeczywistym, podczas gdy ich stosunek syna i matki jest jakąś fikcją i urojeniem. Zapytany czy przyparty do muru, autor „Kochanków” odpowiedzialby ponadto z pewnością, że przecież Helena i Wiktor jako organizmy fizyczne nie mają ani jednej tkanki w sobie z tych czasów, w których Helena była matką, zaś Wiktor jej synem, gdy ona wydawała go na świat.

Ta intelektualistyczna do gruntu sztuka, napisana w dwu pierwszych aktach djalgiem bardzo wyszukany i niepozbawiony pewnej odkrywczości artystycznej, staje się w akcie ostatnim sztuką lekkomyślną. Lekko-myślną w mniemaniu, jakoby akt ten istotnie zamykał jakąś przeszłość i otwierał jakąś przyszłość. Autor korzysta tu z prawa zapuszczenia kurtyny we właściwym momencie na warunkach nieco ciężkich dla widza: ta chwila spokoju po burzy, jaką się kończy „Kochankowie”, jest oczywiście możliwa. Ale perspektywa ich dalszego wspólnego życia, jest możliwa tylko dlatego, że autor zrzekł się jej przedstawienia w sztuce. Zagadnienia czysto intelektualne w literaturze to mają do siebie, że dają się przeprowadzić interesująco od założenia aż po ostatni wniosek tylko do tej chwili, w której mamy uwierzyć w rzeczywistość wniosków. Możliwość świadomej zamiany stosunku matki i syna na stosunek dwojga kochanków daje się udowodnić tylko w sferze logicznej — w życiu duchowym jest kwadraturą koła — czemś, co jest nie do przeprowadzenia.

W ramach starannej dekoracji odegrało sztukę Grubińskiego troje artystów, z których jednemu przypadło zadanie niezmiernie trudne i zgóry przesądzone na niekorzyść artystycznego wyniku. Rola Wiktora nie istnieje poza wdziękiem osiemnastoletniego chłopca i na wdzięku tym cała się opiera. Mógł sobie jeszcze przed piętnastu laty pozwolić na nią Osterwa, ale dziś nawet w młodym pokoleniu aktorskim nie widać kogoś, kto by ten wdzięk łączył z ogromnym doświadczeniem scenicznym. P. Łuszczewski roli takiej podźwignąć nie mógł; nie jego w tem wina. Natomiast p. Grywińska, dość sztuczna w akcie pierwszym, miała bardzo dużo szlachetnego bólu w dwu następnych: jest to bodaj najlepsza rola tej niewątpliwie uzdolnionej artystki. Ojciec p. Brydzińskiego w jednym geście i w jednym jęku, gdy obejmuje syna, pokazał bezmiar szczeroci uczucia; niestety, on to był tym

lekkomyślnym człowiekiem, który w akcie ostatnim zaproponował bohaterom, aby go wykreślili ze swej świadomości. Prawdziwy ból prawdziwego człowieka rozwił się wówczas w mgłę pozorów i urojeń.

„Klub kawalerów” — komedia w 3-ach aktach Michała Baluckiego na scenie Teatru Narodowego. Inscenizacja i reżyserja A. Węgierki. Dekoracje i kostjomy Z. Węgierkowej. (Dn. 4.VII. 1934 r.).

Teatr współczesny w Polsce uświadamia sobie doskonale, że z Baluckim coś jednak trzeba uczynić: obejść się bez niego nie można, skoro nasza komedia retrospektywna po za Fredrą, Baluckim i Bliźnińskim niewiele właściwie posiada wartościowych pozycji, nie można również Baluckiego grać metodą normalnego realizmu francuskiego z jego epoki, gdyż wartości literackie djalogu autora „Grubych ryb” zbyt są skromne, aby mogły słuchacza naprawdę zainteresować. Jedno jest pewne: Balucki jest komedjopisarzem aktorskim, grać go trzeba pierwszorzędnymi aktorami, o bogatych zasobach ekspresji charakterystycznej.

W ostatnich latach najchętniej poszukiwano w Baluckim groteskę i przekonywano się, jak dalece możliwości tej groteski są ograniczone. Eksperyment na szerszą skalę zorganizował swojego czasu warszawska Reduta, grając „Dom otwarty” z wielkim nakładem studjów przygotowawczych: przerost szczegółów i niezbyt szczęśliwa koncepcja rozplanowania widowiska i tę próbę postawiły w szeregu usiłowań bez rezultatu. Kto wie, czy właśnie inscenizacja „Klubu Kawalerów”, ta, którą oglądamy teraz w Teatrze Narodowym, nie jest jako typ wzorowego widowiska, najwłaściwszym rozwiązaniem.

P. Węgierko utrzymał się w granicach umiarkowanego realizmu, tego realizmu, który nie pozwala na szarżę groteskową, ale który wymaga dużej precyzji szczegółów charakterystycznych, dla wydobywania epoki, środowiska i obyczajów. Opracował troskliwie każdą postać komedji Baluckiego, starając się raczej o wydobywanie indywidualności, niż zewnętrznych sylwetek, zachował niejako w skrócie styl teatralny, uczynił to jednak z podkreśleniem świadomości tego stylu. No i pomysłowo rozwiązał reunion w Krynicy, odslaniając w finale aktu drugiego salę balową, nie na długo, bo to zawsze zawodzi, ale na chwilę ukazując w zlekką groteskowym skrócie charakterystyczny dla owych czasów obrazek.

W tym kształcie „Klub kawalerów” jest widowiskiem najzupełniej przyjemnym i interesującym. Nie tak znów dawna, lecz jakże odmienna od naszej, epoka wydaje się nam szczerze zabawna w każdym szczególe teatralnej realizacji, zwłaszcza zaś w wyborach i pełnych smaku kostjumach p. Węgierkowej. Natomiast jej dekoracje budzą już pewne wątpliwości: ten parawanowy akt pierwszy na tle czarnych kotar (sukcesja po Karolu Fryczu) mało ma wspólnego z nastrojeniem restauracyjki krakowskiej; zupełnie odmiennie potraktowany akt drugi za wiele miał staranności jak na dekorację charakterystyczną dla ówczesnej „szmiry” dekoracyjnej, charakterem swym natomiast raczej na świadome naśladownictwo takiej szmiry wyglądał. Najszczęśliwiej pomyślany był akt ostatni, ta miniaturowa dekoracja operowej, gdzie poukładane na ziemi wianuszki mają imitować kłomby, a zabójcze pejzaże na horyzoncie — rozmach malarski.

Powodzenie artystyczne „Klubu kawalerów” zasadza się oczywiście przede wszystkim na doskonale grającym zespole. Taka Dziudziulińska p. Janeckiej, to kapitalna sylweta charakterystyczna w stylu bardzo polskim, bardzo Baluckiego, a nawet bardzo w stylu epoki. Może już p. Dulęba wylamywała się z tego stylu grą nadmiernie dyskretną, może doskonała scena oświadczy w akcie ostatnim czyniła raczej wrażenie, jakgdyby to nie była p. Mirska Baluckiego, ale po prostu Aniela z „Słubów panienskich”, ale i ta nadmierna dyskretność pełna było doskonałego aktorstwa. P. Cwiklińska zaś prowadziła djalog ze zwykłym u tej artystki humorem i wyrazistością, zaś p. Swierczewska, choć może niezbyt predystynowana do ról

tego rodzaju, jak spryciarki Baluckiego, niepozbawiona była szczypty ironji, która Maryni wysła raczej na dobre.

Z członków klubu kawalerów na pierwszy plan wybił się grą niezmiernie zabawną, spokojną i konsekwentną p. Grabowski jako Wygodnicki (cóż za kapitalnym Wygodnickim był przed laty Bończa-Stępiński!). Świetną karykaturę, bardzo powściągliwą zresztą w formie, dał p. Węgrzyn jako Nieśmiałowski (grał tę rolę dawniej p. Jaracz), chwila-

mi tylko zbyt, jak na Nieśmiałowskiego, śmiały w stosunku do mężczyzn. Galerję doskonałych typów stworzyli pp. Stanisławski, Wesołowski, Roland, bardzo dobry w roli kelnera p. Janowski, oraz p. Buszyński w swej dawnej roli Piorunowicza. Ta jedna zresztą rola zbyt mało miała humoru: przecież Piorunowicz właśnie najbardziej ociera się o farsę, skoro już w połowie pierwszego aktu wpada w szarżę męzowskiej zazdrości. W. Z.

TO I OWO

ROZZALONY FELJETONISTA

Pana A. M. Swinarskiego z Poznania spotkała przykreść. Zabroniono wystawiania jego szopki w Kaliszu i p. Sw. zwraca się ze swych cierpień na łamach „Kurjera Poznańskiego”. Jeżeli dla czystelników tego pisma kłopoty p. Sw. są tematem zajmującym, to wszystko w porządku. Nie wiemy tylko, dlaczego przy okazji swoich kaliskich porachunków p. Sw. gniewa się na Pion i pisze o nas tak niegrzecznie. Ponieważ niema związku pomiędzy Pionem a zawodem, który spotkał p. Swinarskiego w Kaliszu, przeto irytację poznańskiego feljetonisty można wytłumaczyć tylko kilkoma wzmiankami w naszym piśmie o działalności literacko-kabaretowej piwcy „Przypowieści Wschodniej”. Miło nam zapewnić p. Sw., że gniew jego jest nieuzasadniony i niesprawiedliwy. Pisałiśmy o nim tylko tak, przy okazji, że nie zawsze pochlebnie, to nie nasza wina. Obecna była, rzecz prosta, chęć sprawienia p. Swinarskiemu przykreści.

Naszą ujemną opinię o kabaretowych występach p. Sw. opieramy na prostych przesłankach. Dowcip jego wydaje nam się ciężki i brudnawy (plump und schmutzig), na dowód przytaczamy takie utwory jak „Przypowieść wschodnia” i „Genezis”, oba wydrukowane w almanachu „Klubu szycerów”, w kabaretowych pismach wybranych (ausgewählte Schriften) p. Sw. Skala dowcipu p. Sw. jest wąska: o ile nie uprawia pornografii, plotkuje. Rodzaj tych plotek, przesyconych aluzjami osobistymi, które poza zainteresowaniem nikogo nie obchodzą, jest nieciekawym; nic, poza nudą, w nich nie znajdujemy. Proza feljetonowa p. Swinarskiego też nas nie zachwyca. Można mieć różne zastrzeżenia co do roli, jaką w naszej literaturze odgrywa feljeton, ale trudno zaprzeczyć, że technika feljetonowa stoi u nas wysoko. Dość wymieni nazwiska Boya, Makuszyńskiego, Słonimskiego, Gru-

bińskiego, Wasylewskiego, Nowakowskiego. Feljetoniści, nawet kiedy operują komunalem, umieją go tak maelektryzować swym stylem, nadać mu taką żytkość, że najprostszy banal na chwilę ożywa pod ich piórem.

P. Swinarski nie ma jednak tej umiejętności. Jako feljetonista jest „nicht ohne Ta-lentlosigkeit”. Język jego jest sztywny i ubogi — „drewno”, jak to mówią. Argumentacja płaska, wszystko szyte powrósem. Nie wychodzi poza feljetonowe szablony, których powstydziłby się nie tylko majster, ale nawet lepszy czeladnik jego cechu. Może to dlatego, że p. Sw. pisze po polsku, może jego feljetony niemieckie byłyby lepsze, ale cóż, kiedy ich nie znamy. „Ażeby być feljetonistą, trzeba posiadać esprit, dowcip, poczucie humoru...” — pisze p. Swinarski. Co za szalona rewelacja! Ale esprit w tem nie widać. Banal, żenujący swą pospolitością.

P. Swinarski nam nie wierzy, pomawia nas o brak humoru. Feljeton p. Swinarskiego daliśmy do przeczytania jednemu bardzo wesołemu człowiekowi. Odpowiedź brzmiała: „W feljetonie p. t. „Herostates” śladów humoru nie wykryto. 45% irytacji, 55% arogancji, dużo osadu”.

LITERACKIE RECENZJE W LITERACKIM PIŚMIE

Ostatnie numery „Wiadomości Literackich” zamieściły kilka recenzji teatralnych pióra J. Wittlina. Po ponurawym humorze p. Słonimskiego te inteligentne recenzje sprawiają wrażenie ożywcze. Jest w nich zresztą sporo dowcipu, ale w lepszym, literackim gatunku. Pisane z finezją, ze zrozumieniem i z czcią, usiłują wydobyc całą treść artystyczną i ideową krytykowanej sztuki. Stylem i poziomem kontrastują bardzo korzystnie z wiodowym (umyślnym lub mimowolnym) wyglupianiem się recenzenta „przysięgłego” „Wiadomości”. Jak słyhać, idylla ta jest, niestety, krótkotrwała. (J.)

WSRÓD KSIĄŻEK

Herbert Maryon. „Modern sculpture its methods and ideals” London 1933.

Autor pragnąc poznać ideały i metody pracy rzeźbiarzy współczesnych odbył szereg podróży po ośrodkach artystycznych poszczególnych narodów. Odwiedził również Warszawę i Kraków. Wspomnienia, jakie wywiózł i utrwalił słowem i zdjęciem w swej obficie ilustrowanej pracy, dotyczą sześciu artystów polskich. Oto nazwiska i tytuły prac reprodukowanych: Bogaczyk „Madonna”, Firk „Janosik”, Hukan „Ołtarz Matki Boskiej” i „Głowa”, Laszczka „Portret” i „Księżniczka-kot”, Wiwulski „Pomnik Grunwaldzki”, Szczepkowski — fragmenty ołtarza.

Charakterystyczne, iż widoczne tu opuszczenia nie są rezultatem niewiedzy. Autor zwracał się w Polsce o informacje do osób mogących udzielić mu wskazówek w sposób obiektywny i dokładny. Zainteresowanie jego nie szło zawsze po linii udzielonych mu wskazań. Herbert Maryon nie dostosował się do przyjętej u nas w tej chwili hierarchji wartości. Stanowisko to zasługuje na uwagę.

K. M.

Tadeusz Peiper: Stary mąż młodej żony. Biblioteczka Czasu, zeszyt 6. Kraków, skład główny u Gebethnera i Wolffa.

Tak jest, autorzy nie umieją analizować swoich ról, reżyserzy — zgodnie z modą powszechną — dbają bardziej o zespół niż o indywidualne wyczyny. Dlatego czasem literat-poeta musi zabrać głos. Zawsze pomysłowo teoretyk awangardy, Peiper, czyni to własnie i wyklada, jak należy grać wojewodę w „Mazepie”. Gra się go szablono, jako „posąg honoru i dumy”, a nie wyzyskuje się mnóstwo sposobności zawartych w tekście Słowackiego, aby go uczynić człowiekiem naprawdę zajmującym. Peiper wykazuje inną linię zamiarów Słowackiego: wojewoda to przede wszystkim zazdrośny mąż, który pod wpływem atmosfery erotycznej, jaką wszczy-

nają na jego zamku młodzi ludzie, naraz czuje się starym, poczucie tej niższości prowadzi go do oszustwa, do okrucieństwa, a przemówienia jego nasycą ironją, lub nawet wisielczym humorem. Więc trzeba go grać jako złośliwego starca, który to prostuje się wspaniale, to popada w maniactwo, w śmiech astmatyczny i t. p. — słowem grać raczej z realizmem psychologicznym niż monumentalnie. Chociaż Peiper czasem za daleko się posuwa, gdy w poetyce Słowackiego wyczuje poetykę awangardy, jednak daje tyle ciekawych i ważnych spostrzeżeń, że ta broszurka powinna się znaleźć w biblioteczkach każdej szkoły i każdego teatru, a przede wszystkim na stoliku ambitnych aktorów. — Ceterum censeo: zaangażować Peipera na reżysera; a przynajmniej zachęcić go, aby w ten sam sposób jeszcze dużo innych ról, czy całych sztuk, opracował.

K. I.

Zbigniew Zaniewicki „Ślady”. Warszawa, 1934.

Podchodzić do liryki od strony tematu czy sytuacji znaczy nie rozumieć jej. Bo przecież lepiej pasjonujące wydarzenie opowiedzieć prozą. Forma wiersza tak pojętego służy wątpliwej ozdobie i niecierpliwi mi zdrażając się pretensjonalnością. Zaniewicki z niepojętym zadowoleniem podkreśla okolicznościowość swych wierszy i pisze właściwie niedołężne opowiadania przystrojone rytmem („Słowacki i Kora Pinard” albo rozbijająca „Rozmowa z Norwidem”). Wszystko w tych wierszach poczawszy od oklepanej rytmiki, rymów w rodzaju złoty-łęgskoty, a skończywszy na obrazowaniu i tonie uczuciowym jest bardzo przedawnione i bardzo liche. Falszywy patos pomieszany z opisowością czysto informacyjną zdaje się dowodzić wierszomanji. Gdyby autor więcej zycziwej uwagi poświęcił toczącemu się sporom o formę w poezji, jego „Ślady” — jak sądzić — nie ukazywałyby się w druku.

Z. Kucharski

ATLAS KULTURY LUDOWEJ W POLSCE

Pierwszy, skromny napozór, zeszyt atlasu kultury ludowej w Polsce *) jest wynikiem ogromnego nakładu pracy i energii, pozostającego jednak we właściwym stosunku do osiągniętych wyników. Drobia to jednak cząsteczka ogromu zamierzonej pracy. Obszerna wiedza w zakresie ludoznawstwa, zadziwiająca energia i oddanie się nauce, a również umiejętności organizowania zdyscyplinowanej pracy zbiorowej — oto zalety prof. Kazimierza Moszyńskiego, gwarantującego doprowadzenie do końca zapoczątkowanego dzieła.

Dążąc do utrwalenia i związania z terenem tradycyjnych treści kultury ludowej nieprzekazywanych piśmem, prof. Moszyński opracował kwestionariusze, zawierające ściśle ustalone pytania, dotyczące zjawisk kultury duchowej ludu na ziemiach naszych. Ustaliwszy ponadto miejscowości, w których miano przeprowadzić badania, umożliwił sobie wykorzystanie pracy uczniów i osób postronnych (skrupulatnie cudze zasługi notując), przy jednoczesnym zachowaniu jednolitego charakteru badań i możności ich kontrolowania. Trzeba zaznaczyć, iż prof. Moszyński potrafi zachęcić swych uczniów do pracy, zyskując współpracowników tak sumiennych i pracy oddanych, jak asystentka Jadwiga Klimaszewska, współdziałająca z nim w zbieraniu odpowiedzi i ponosząca trud mozolnego wykreślenia map.

*) K. Moszyński. Atlas kultury ludowej w Polsce. Zeszyt I, opracowany wspólnie z J. Klimaszewską. Kraków, 1934. Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności.

LIST OTWARTY DO P. J. E. SKIWSKIEGO

Szanowny Panie!

List ten ma być zakończeniem zbyt długiej dyskusji, która dała się we znaki czytelnikom Pionu — o ile w ogóle zwrócili na nią uwagę. Ale niema rady, wyjaśnienie musi być raz sformułowane w całości, dla usunięcia nieporozumienia w sprawie Bulli „pro Jacobitis” cytowanej kilkakrotnie przez Pana. *)

Stosunek Kościoła do herezji i herezyków jest zawsze dwojaki: jeden zewnętrzny, społeczny — drugi wewnętrzny, indywidualny.

Dotąd nie poruszałem drugiego, bo wymaga ustron dysputujących jednakowego nastawienia w rzeczach wiary. Skoro jednak przemilczanie go pogłębia istotę naszego sporu, widzę się zmuszonym go dotknąć.

Stosunek zewnętrzny, społeczny, omawiałem kiedyś indziej, na podstawie książki K. Adama „O istocie katolicyzmu.”

Kościół potępia herezje i herezyków tylko ze stanowiska społecznego, jako grupy, nie zaś personalnie **) — w imię Prawdy, której oni przeczą, której on uważa się za stróża i za którą czuje się odpowiedzialny przed Bogiem i sumieniami własnych wyznawców. Anatemy więc są wyrazem tego zewnętrznego ustosunkowania się Kościoła do błędów i jego przedstawicieli. Kościół patrzy na nich przez pryzmat ich odszczepieństwa i zerwanej jedności, przed czym ostrzega i czemu się przeciwstawia z całą siłą swego autorytetu w imię dobra społecznego, aż do wykluczenia opornych ze społeczności wiernych w tem i przyszłym życiu.

Ale obok tego istnieje drugie, indywidualne ustosunkowanie się Kościoła do herezyków, którego ostatecznym kryterjum jest sumienie człowieka, a trybunałem i ostateczną instancją konfesjonalną. W sanctissimum sumienia Kościół inną drogą nie wkracza, wyroku nie przesądza. *) W konfesjonale decydującą rolę odgrywa czystość intencji penitenta, jego dobrej woli i przeświadczenia. Błąd nieświadomy — wyklucza winę.

Zaden względ zewnętrzny na ten sąd Kościoła wpływać nie może. I ten sam człowiek — potępiony na podstawie zewnętrznego, społecznego, stosunku Kościoła do herezji i herezyków — może być rozgrzeszony

*) Pion Nr. 9 „Katolicyzm dyplomaty”. Nr. 14 „Katolicyzm omylny i nieomylny”. Nr. 24 „Dyskusja”.

**) Pion Nr. 13 „Dwie reakcje”.

*) Kościół powiada: Każdy należący do danej sekty, będzie potępiony, ale nie mówi nigdy: Piotr należący do danej sekty będzie potępiony.

*) Nawet o potępieniu Judasza nie orzeka.

Znane są etnologom trudności związane z ustaleniem terytorjum etnograficznego. Dotychczas, z braku odpowiednio opracowanego materiału, korzystano tu z prac językoznawców. Praca nad „geograficznym i planowym ujęciem zespołu problemów etnograficznych zapoczątkowana przez prof. K. Moszyńskiego, otwiera nowe perspektywy w badaniach nad dziejami kultury na ziemiach naszych.

Prace poświęcone kulturze duchowej ludu naszego winny interesować nie tylko naukowców. Stosunek nasz do ludu wiejskiego wymaga gruntownej rewizji. Pobłażliwy sentyment, lekceważąca wyrozumiałość oparta na strzępach źle zrozumianych kryteriów, należących już do przeszłości, to wszystko pogłębia tylko przepaść wzajemnego nierozumienia się. Jeśli przytem chce się kierować życiem wsi, dzięki ignorancji i nieprzemysłowemu praw rządzącym tem życiem, łatwo stać się czynnikiem jedynie rozkładu.

Pierwszy zeszyt atlasu zawiera osiem mapek Polski, w granicach której rozmieszczono dość równomiernie 134 punkty, oznaczające miejscowości włączone do ustalonego planu badań. Treść każdej mapki uzupełnia opis. W ten sposób opracowano powiedzenia tego rodzaju co „Na N. Rok (albo Boże Narodzenie etc.) przybywa dnia na Kurzy Krok (lub stopę i t. p.), nazwy ludowe Plejad, gwiazdy wieczornej, księżyc na nowiu, przypisywanie duszy ludzkiej kształtowi ptaka, wierzenia o południcy oraz wróżenie ze śledziona wieprza. Zaznaczyć należy, iż badania w terenie finansował Fundusz Kultury Narodowej. K. Moledziński.

i nie podlegać wykluczeniu ze społeczności duchowej Kościoła, ani w doczesnym ani w przyszłym życiu. To stanowisko, wobec sumienia jednostki, jest w nauce Kościoła, momentem ostatecznie decydującym o jej zbawieniu.

Pragnęłam zwrócić na to uwagę Pana na zasadzie moich laickich, ale ścisłych wiadomości, dotyczących tej spornej między nami sprawy, dziękując jednocześnie Panu za osobność, a Redakcja Pionu za danie mi możności tego wyjaśnienia na szpaltach jej gościnnego pisma.

Z. T. Krępski.

NA EKRAŃACH

LADY LOU
(Kino Atlantic)

Mae West jest zjawiskiem dla amerykańskiego filmu bardzo charakterystycznym. Oto nareszcie postać szczerą, odkłamaną z wszelkich pseudomoralnych — purytańskich dezycydatów dyktatora amerykańskiego filmu, Willy Haysa. Greta Garbo i Marlena Dietrich ukoronowały cykl „Vampów” otoczonych tajemniczą, sfinksowatą świętością. „Vamp” był jak dotąd dziwnym połączeniem rozpusty ze świętością macierzyńską czy małżeńską. Pod pokrywką uczuć rodzinnych (Blond Venus), patriotycznych (X-27) czy romantycznych (Królowa Krystyna) przemycano ekstrakt sexappealu tak entuzjastycznie wityny przez czytelników „Kina”, uczestniczki „konkursu Między Nami” czy „Kącika Dobrych Znajomych”. Mae West kładzie nareszcie kres tym nieporozumieniom. Szczerze, otwarcie i prosto stawia sprawę: chodzi jej tylko o najgrubsze wzruszenia natury historyczno-seksualnej. Widocznie przynęta „świętości uczuć” zaczęła zawodzić i trzeba teraz spróbować najcięższej artylerji. Dosłownie najcięższej, grubej, niezgrabnej i utrzymanej w stylu domów publicznych. Mae West znakomicie trafia do gustu zblazowanym starszym panom i niedoświadczonym sztabakom. Jednostce przeziębionej i normalnej wydaje się jednak prosto śmieszna lub wstrętna. Trywialność i cynizm scenarjusza i sytuacji znajduje jeszcze uzupełnienie w dialogach filozoficznych, utrzymanych w stylu Pitigrilliego. Postać Mae West nie warta byłaby tak szczegółowego omawiania, gdyż w gruncie rzeczy jest to typ niesłychanie uproszczony i nieciekawy. Jednakże fakt, że dzisiejsza produkcja amerykańska uczyniła z niej jedną z czołowych swych postaci, świadczy aż nadto wymownie o gangrenie moralnej środowiska, które hoduje sobie tego rodzaju bohaterki. Ze swej strony winniśmy być wdzięczni Mae West za tak udatne przyczynianie się do zdemaskowania legendy „vampa”. Teraz zgadzamy się już wszyscy: chodzi o najgrubszego stylu erotyzm.

Film „Lady Lou” wykonany jest dobrą techniką, zdjęcia i reżyserja stoją na wysokim poziomie. Reżyser, p. Lowell Sherman, wykazał, że zupełnie serjo potrafi się przejąć „ideologią” tej grubej i sprężonej starszej pani. Oddanie epoki „1900”, tak modnej obecnie, bardzo dobre, zwłaszcza we wstępie i scenach kabaretowych.

Nadprogram wyświetla Atlantic wspaniałą groteskę Fleishera „Kubuś opiekunem”. Należy przypuszczać, że przyszły film amerykański, który wyzwole się od „vampów” i Mae West, z wdzięcznością wspominać będzie Fleishera i Disneya, tak udatnie pracujących w ciężkiej epoce „1934”.

Polski dodatek barwny Szczepaników „Rewja barw” pozostaje niestety wciąż je-

szcze na poziomie eksperymentów laboratoryjnych, raz udanych, raz nieudanych, nie powiązanych ze sobą w żadną całość artystyczną czy choćby logiczną.

DROGA DO SZCZĘŚCIA
(Kino Europa)

Film Clarence Browna „Droga do szczęścia” wart jest wzmianki ze względu na dość ciekawy scenarjusz, oparty jakoby na powieści Franklina Roosevelta, prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jeśli tak jest w istocie, to w filmie tym zupełnie świadomie znalazła echo ideologia t. zw. N. R. A. „Droga do szczęścia” to typowy melodramat burżuazyjny, ukazujący nowe rzekomo drogi do utraconej „prosperity”. Kryzys niszczy dwie rodziny, rodzinę zredukowanego buchaltera i rodzinę przedsiębiorcy. Przedsiębiorca jest ideałem (przeżywa go się nawet „Aniołem”) — buchalter jest poczciwym leniuchem. Wyjście jest jedno — utrzymać za wszelką cenę własne przedsiębiorstwo i raczej obniżyć stopę życiową i zadowolić się małym, niż poddać się depresji. Idealny przedsiębiorca gotów jest klepać biedę, byle nie dopuścić do redukcji personelu i nie sprzedawać się złemu przedsiębiorcy, który jest postacią anonimową i nie ukazuje się na ekranie. Zredukowany buchalter dojdzie do szczęścia i względnej dobrobytu, ucząc się prowadzić własny sklepik, i wszyscy zadowolą się małym, byle własnym. Ten moral w stylu bajki Krasickiego wyczerpuje bez reszty ideologię scenarzysty. Chodzi o utrzymanie się, przetrwanie „za wszelką cenę”. Scenarjusz jest naiwny i uproszczony, ale posiada swą wartość propagandową. Wprawdzie publiczność przyzwyczajona do narkotycznej tematyki, sarka i niechętnie odnosi się do tego rodzaju zagadnień, zwłaszcza do scen redukcji (rzeczywistość stała się aż nadto niepopularną w dzisiejszym kinie) — jednakże ukazanie fragmentu wspólnego życia na ekranie warte jest zanotowania.

Bardzo dobra gra Lionel Barrymore’a w roli starego buchaltera odbija od bardzo miernie gry reszty zespołu. W nadprogramie warto wyróżnić prawdziwie ciekawe zdjęcia wyścigów motocyklowych w tygodniku Foxa.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI

HANDEL, PRZEMYSŁ
Kazimierz Jabłowski — Jak zdobywać pracę i stanowisko. Książnica Atlas.

ARCHITEKTURA
Tadeusz Tolwiński — Urbanistyka. Tom I. Budowa miasta w przeszłości. Warszawa MCMXXXIV. Skład: Kasa Mianowskiego.

PODRÓŻE
Jadwiga Toeplitz-Mrozowska — Moja wspaniała prawna na Pamiry. Książnica Atlas.
Jerzy Giżycki — Biali i czarni. Fragmenty kolonialne. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

Mieczysław B. Lepecki — Sybir bez przekleństw. Rój. 1934.

PEDAGOGJA
Władysława Mortynowiczówna — Organizacja pracy nauczyciela historii w szkole powszechnej. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

PIAMIĘTNIKI
Dr. Wojciech Jakobson — Z armją Klucka na Paryż. Toruń, 1934. Nakładem autora.

TEATR
Boys-Zeleński — Reflektorem w serce. Biblioteka Boya.

A. Kallas — 2 sztuki szukają dyrektora teatru. Warszawa, 1934. Skład Główny w Domu Książki Polskiej.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T. „KURJER KSIĘGARSKI”.

na plaży tylko....



NATURALNA LEMONIADA ANANASOWA i TODDY

HABERBUSCH i SCHIELE S/A

Redakcja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19.
Administracja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto. P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: Tadeusz Świątcicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10